

CATHIE LINZ

**Cygańska
szkatułka**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Krzyk mężczyzny wyrwał Michaela Janosa z głębokiego snu. Mimo że dawno temu porzucił akademię policyjną dla pracy w firmie ochroniarskiej, pewne odruchy z tamtych czasów pozostały.

Sięgnął po dzinsy, błyskawicznie włożył je i wypadł na korytarz. Stawiając bosą stopę na najwyższym schodku, uraził sobie duży palec. Zaklął po węgiersku, a potem zaczął łomotać do drzwi mieszkania, w którym, jak mu się zdawało, ktoś przeraźliwie krzyknął.

- Panie Stephanopolisjest pan tam? Toja, Michael Janos. Starszy mężczyzna powoli otworzył drzwi.

- Co się stało? - zapytał Michael. - To pan tak krzyczał?

- Ja - odparł gniewnie lokator. - Wszedłem pod prysznic i odkręciłem ciepłą wodę. Cud, że sobie nie odmroziłem tych rzeczy! Niech pan naprawi w końcu piec, zanim będą następni poszkodowani!

Michael już czuł się poszkodowany - palec u nogi bolał go coraz bardziej. Kiedy był sześciolatkiem, złamał ten sam duży palec, potykając się o schody, miał więc słabą nadzieję, że historia się nie powtórzyła.

- Słyszysz pan, co mówię? - spytał pan Stephanopolis, coraz ciaśniej owijając szlafrokiem swoje patykowate ciało.

- Słyszę pana dobrze - zapewnił go znużonym głosem Michael. Nie było jeszcze szóstej, a on położył się spać po

drugiej w nocy. - Założę się, że cały dom słyszał pański krzyk.

- Więc co zamierza pan zrobić z tym zepsutym piecem?

- Szukam stałego konserwatora, który zająłby się wszystkimi naprawami w domu. Mówiłem panu, że dałem już ogłoszenie. Tymczasem spróbuję wezwać jakiegoś fachowca, ale w przeddzień Święta Dziękczynienia niełatwo będzie kogoś znaleźć.

- Zdaje się, że jakiś fachowiec był w zeszłą sobotę.

- Właśnie... - Michael przypomniał sobie słony rachunek, jaki ów człowiek wystawił mu za pracę w sobotę. - Proszę posłuchać, panie Stephanopolis, umówiłem się na dzisiaj z kilkoma chętnymi do objęcia posady konserwatora tego domu. Mam nadzieję, że j eden z nich okaże się prawdziwą „złotą rączką”.

Nadzieja Michaela zgasła, kiedy okazało się, że żaden z kandydatów nie potrafi zmienić żarówki w jego piecyku kuchennym. Ostatni z nich był tak ambitny, że rozebrał na części całą kuchenkę. Michaelowi nie pozostawało nic innego, jak wezwać telefonicznie montera z pogotowia instalacyjnego - do naprawy kuchenki i usunięcia kilku innych awarii, które utrudniały życie lokatorom jego domu.

Tymczasem fachowiec od pieca grzewczego, wezwany o szóstej rano, wciąż się nie pojawiał.

Pan Stephanopolis demonstrował niezadowolenie z powodu braku ciepłej wody, maszerując w kółko po swoim pokoju w ciężkich wojskowych butach, pamiętających drugą wojnę światową. Kiedy do akcji protestacyjnej przyłączyła się jego żona olbrzymka, Michael miał wrażenie, że lada chwili zawali się nad nim sufit. Sytuacja zbliżała się do punktu krytycznego.

Nieśmiałe pukanie do drzwi rozpałiło w nim iskierkę nadziei, i tym razem złudnej, bowiem za progiem stały pani Wieskopf z panią Martinez, ramię przy ramieniu, wierzące zapewne w sens przysłowia: „Co dwóch, to nie jeden”. Starsze panie dzieliły apartament na pierwszym piętrze sąsiadujący z mieszkaniem Michaela.

- Panie Janos - odezwała się zirytowanym głosem pani Wieskopf- czy zauważył pan, że w tym domu nie ma ciepłej wody?

- Tak, wiem. Wezwałem już fachowca...

- Sobota jest naszym dniem prania, panie Janos. A białych rzeczy nie da się uprać w zimnej wodzie.

- Zdaje się, że już tydzień temu wzywał pan fachowca - dodała pani Martinez, po czym wygłosiła piętnastominutowy wykład o obowiązkach właścicieli czynszowych domów.

- Proszę posłuchać - przerwał jej w końcu Michael. - Przykro mi z powodu awarii, ale robię w tym domu, co mogę, proszę mi wierzyć.

Najwyraźniej nie wierząc, lokatorki wzruszyły wymownie ramionami i wróciły do siebie.

Michael gotów był ogłosić fajrant i z nikim więcej nie rozmawiać, przypomniał sobie jednak, że umówił się z jeszcze jednym kandydatem do pracy. Ten człowiek się spóźniał. To zły znak.

Ledwie to pomyślał, usłyszał dzwonek domofonu - również uszkodzonego, dlatego nacisnął przycisk, nie sprawdzając, kto wchodzi. Poprzez oszklone drzwi wejściowe dostrzegł listonosza.

- Mam dla pana paczkę - powiedział ponurym głosem, jakby dawał do zrozumienia, że roznoszenie paczek kompli-

kuje mu życie. - Poza tym mógłby pan naprawić tę starą skrzynkę na listy.

- Cały ten dom jest stary - odparł Michael.

- Skaranie boskie z takim domem, co? Kula u nogi, prawda? - Listonosz ożywił się. - Cwany Axton musiał odetchnąć z ulgą, kiedy pozbył się tej rudery.

A ja dałem się w nią wrobić, pomyślał gorzko Michael. Układ z Davidem Axtonem znosił tak długo, jak tylko mógł. Dopiero kiedy David przez ponad rok nie płacił mu za usługi na rzecz jego firmy, Michael pozwał go do sądu. I w ten oto sposób został właścicielem olbrzymiej wiktoriańskiej kamienicy, podczas gdy Axton ogłosił upadłość swojej firmy i przepadł gdzieś bez śladu.

- Kiedyś jeszcze będzie coś warta - pocieszył Michaela, zanim wyszli z sądu po ostatniej rozprawie. - Wymaga drobnego remontu, ale ta dzielnica Chicago znowu zaczyna być modna. Jeśli zadbasz o ten dom, przyznasz wkrótce, że spłaciłem ci dług z nawiązką.

Mieszkał w nabytym przez siebie domu dopiero od kilku tygodni, ale zdążył się zorientować, co miał na myśli Axton, mówiąc o „drobnym remoncie”.

Listonosz trzasnął za sobą drzwiami, zostawiając Michaela z bólem głowy i tajemniczą paczką w ręku. Obejrzał ją dokładnie i ze zdumieniem przeczytał wykaligrafowane fantazyjnym charakterem swoje nazwisko oraz imię w węgierskim brzmieniu Miklos. Nikt go tak nigdy nie nazywał.

Znaczki były węgierskie, ale adres nadawcy nic mu nie mówił. Na Węgrzech nie miał żadnych znajomych. Wiedział oczywiście, że jest Węgrem z pochodzenia, ale kiedy na początku lat sześćdziesiątych jego rodzice wyemigrowali do Stanów, był jeszcze dzieckiem.

Paczka była tak sfatygowana, jak gdyby wędrowała do Ameryki przez całe Chiny na wielbłądzim grzbiecie. Michael przyłożył do niej ucho, lekko potrząsnął i wtedy poczuł koszmarny, rozsadzający głowę ból. W tej samej chwili wewnętrzne drzwi holu zatrzęsnęły się z hukiem, uniemożliwiając mu wejście do własnego mieszkania.

Po raz drugi tego dnia zaklął po węgiersku, a potem szarpnął za gałkę i z trudem utrzymując równowagę, wyrwał ją z drzwi.

Brett Munro wyjęła z kieszeni świstek papieru, żeby jeszcze raz sprawdzić adres: Love Street 707. Tak, to na pewno ten dom. Wyglądał, co prawda, na rezydencję rodzinną, a nie kamienicę czynszową, ale Brett wiedziała, że kiedyś, kilkadziesiąt lat temu, okolice Fullerton należały do bardzo zamożnych ludzi. Teraz takie dzielnice walczyły o przetrwanie z ekspansją przedsiębiorców budowlanych.

Walka o przetrwanie była specjalnością Brett - wiedziała o niej wszystko. Weszła do środka i zobaczyła wysokiego bruneta walczącego z gałką do drzwi wewnętrznych holu. Nie miał na sobie płaszcza ani kurtki, domyśliła się więc, że zatrzęsnał drzwi niechcący i nie mógł się dostać do domu.

- Może zadzwoni pan do kogoś, kto je panu otworzy?
- poradziła.

Kiedy mężczyzna odwrócił się do niej, wstrzymała na chwilę oddech. Nie był klasycznie przystojny, miał zbyt szczupłą twarz, bardzo ciemną cerę, wystające kości policzkowe i jasnoorzechowe, niesamowicie wyraziste oczy. Brett nie mogła oderwać od nich wzroku. Nigdy dotąd nie widziała takich oczu. Nie chodziło o ich barwę, tylko tę dziwną, hipnotyzującą głębię. Przez ułamek sekundy nie czuła ziemi pod

stopami - jak gdyby gwałtowny wir powietrza uniósł ją w górę.

- Skąd pani się tu wzięła? - spytał.

- Weszłam przez drzwi. Chce pan, żebym to naprawiła?

- Jak na jeden dzień dosyć mam ludzi, którzy próbują naprawiać tu różne rzeczy.

- To piękny, stary dom - powiedziała z podziwem.

- Ruina, która wcześniej czy później zawali się ludziom na głowy.

- To dlaczego pan tu mieszka?

- Nie mam wyboru.

Nie odpowiedziała, doskonale wiedząc, co znaczy znaleźć się w sytuacji bez wyjścia. Ona to już miała za sobą.

- Kim jest właściciel tego domu? - spytała.

- Facet był cholernie cwany oszustem.

Pasja, z jaką mężczyzna to powiedział, zaskoczyła Brett. Widział, jak jej niebieskie oczy stają się coraz bardziej okrągłe. Zaczął się zastanawiać, do kogo przysła.

- No więc zadzwoni pan do kogoś, żeby nas wpuścił? - zapytała.

- Domofon też nie działa. Dzwoni tylko w mieszkaniach lokatorów, którzy są półgłusi.

Miał na myśli Stephanopolisów, panią Wieskopf i panią Martinez. Mówiąc tak o nich, poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Rodzice uczyli go szacunku dla starszych, ale przecież ta czwórka staruszków torturowała go z pełną premedytacją...

- Skoro domofon jest zepsuty, to znaczy, że jest jedna rzecz więcej do zrobienia - powiedziała Brett. - Niech pan włoży po prostu tę gałkę z powrotem w drzwi. - Odpowiedziała uśmiechem na jego nieufne spojrzenie. - Znam się na tym, proszę mi wierzyć. Właśnie idę na rozmowę w sprawie

pracy. Właściciel tego domu chce zatrudnić na stałe konserwatora. Wygląda na to, że nareszcie znalazłam coś naprawdę dla siebie.

- To ma być dowcip? - Twarz Michaela zastygła w ponurym grymasie.

- Słucham?

- Pani jest kobietą.

- Zgadza się. I co z tego?

- Ja szukam kogoś z doświadczeniem. Fachmana do wszystkich napraw. Złotej rączki.

- A mnie się zdawało, że pan nazwał właściciela tego domu oszustem.

- Tak. Faceta, który zrobił mnie w tę rudę. A ja jestem nieszczęsnym idiotą, który zgodził się to wziąć. Z całym dobrodziejstwem inwentarza. Potworność!

Z wyrazu twarzy dziewczyny odczytał, że uważa go za idiotę przede wszystkim dlatego, że wątpi w jej umiejętności. Podobała mu się. Była szatynką z krótkimi włosami, jasną cerą i piegami na lekko zadartym nosie. Mógłby się założyć, że w jej żyłach płynęła krew irlandzka. Ze swoim zdrowym wyglądem spodobałaby się jego matce. Tylko że Michael nigdy nie umawiał się z kobietami, które zaakceptowałyby jego matka.

- Jako nieszczęsny właściciel tego domu mógłby mnie pan zaprosić na rozmowę o pracy do środka. Strasznie tu zimno. Pozwoli mi pan zamontować tę gałkę czy nie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Sprawy mają się tak źle, że nie mam zamiaru ich dalej pogarszać.

- To może sam pan założy tę gałkę? - zaproponowała

łagodnym tonem, jakim przemawia się do niesforemego dwulatka, który nie chce zjeść zupki. - Mam taki mały śrubokręt w scyzoryku... - Wyjęła go z torby, nie odrywając wzroku od Michaela.

- Dobrze, zrobię to. Nie dosłyszałem pani nazwiska...

- Bo nie zdążyłam się przedstawić. Brett Munro. Mówmy sobie po imieniu.

- Podpisałaś podanie: B. Munro - powiedział z pretensją w głosie, wręczając jej swoją paczkę.

- Po to, żebyś nie wyrzucił go do kosza. Doświadczenie w poszukiwaniu tego rodzaju pracy nauczyło mnie ostrożności.

Michael prawie jej nie słuchał. Dumny, że udało mu się włożyć gałkę na miejsce, musiał teraz przykleknąć, żeby dokręcić śrubę.

- Kręć w prawo - poradziła oschle, widząc, że ostrze śrubokręta ześlizguje mu się uparcie z rowka śruby, kalecząc drewno.

Mrucząc pod nosem, Michael przykręcił pierwszą śrubę i zabrał się do następnej. Kiedy gałka była umocowana, wyjął z portfela kartę kredytową, wsunął ją między drzwi a futrynę, po czym uderzywszy drugą ręką w zamek, otworzył drzwi.

- Coś za łatwo ci to poszło... - Brett pokręciła głową.

- Właśnie dlatego zamówiłem na przyszły tydzień ślusarza. Chciałem, żeby przyszedł wcześniej, ale facet miał listę zleceń na trzy tygodnie.

- Potrafię założyć nowy zamek.

- Świetnie. A może potrafisz też naprawić piec grzewczy do ciepłej wody? - spytał ironicznie.

- Zależy, co w nim wysiadło.

- Gdybym to wiedział, sam bym go naprawił.

Pobłażliwe spojrzenie Brett zirytowało go.

- Chodźmy do mnie na górę. - Oddał Brett scyzoryk w zamian za paczkę. - Byłaś kiedykolwiek konserwatorem jakiegoś domu?

- Nie.

Szła za nim krok w krok, rozglądając się ciekawie na wszystkie strony.

Michael nie ufał kobietom z takim spojrzeniem. Kobietom z rozbudzoną potrzebą założenia gniazda, które od pierwszej chwili wyobrażały sobie siebie w jego salonie. Gotów były się przyznać do manii prześladowczej, gdyby nie fakt, iż związek z ostatnią z jego przyjaciółek rozpoczął się od podobnie gorączkowego rozglądania się po jego mieszkaniu. Znajomość zakończyła się kilka miesięcy temu całkowitą klęską. Zarzuciła mu, że jest odludkiem. I miała rację.

- Po co miałbym cię przyjmować do pracy, w której nie masz doświadczenia?

- Nie powiedziałam, że nie mam doświadczenia. Skończyłam kursy architektury, znam podstawowe techniki budowlane. Kiedy większość dziewczynek zajmowała się lalkami, mnie bawiły wyłącznie narzędzia do majsterkowania. W każdym razie umiem naprawiać najróżniejsze rzeczy.

- Z wyjątkiem piecyków? - Michael wskazał brodą bałagan w kuchni.

- Piecyki również.

- Potrafisz to złożyć? - zapytał kpiąco.

Brett weszła do kuchni ze zmarszczonym czołem.

- Masz skrzynkę z narzędziami? Nie wzięłam ze sobą niczego oprócz scyzoryka.

Cóż za pytanie! Każdy szanujący się mężczyzna ma w domu komplet narzędzi i to bez względu na to, czy potrafi się

nimi posługiwać, czy nie. Wręczył Brett skrzynkę i zostawił ją samą w kuchni, przekonany, że próba zakończy się niepowodzeniem.

Ponad dziesięć minut zajęło mu rozpakowanie tajemniczej przesyłki z Węgier. Kiedy poradził sobie z pierwszą warstwą papieru i nerwowo potrząsnął paczką, jego skroń po raz drugi przeszył ostry ból. Kartonowe pudełko, do którego udało mu się w końcu dotrzeć, wyglądało na opakowanie po proszku do prania. Wypełnione było zgniecionymi w kulki gazetami.

Michael włożył rękę do środka i poczuł coś twardego. Coś ciepłego. Ciasno upchnięte gazety nie pozwalały mu tego przedmiotu uchwycić.

Wyrzucając je na podłogę, zauważył kartkę papieru zapisaną identycznym pismem jak adres. Wyjął list i zaczął czytać:

„Najstarszy synu Janosów!

Nadszedł czas, żebyś poznał sekret naszej rodziny i BAH-TALI - to znaczy magię, którą jest dobra. Ma ona wielką moc. Przysyłam tę szkatułkę, żeby wtajemniczyć cię w nasze losy. Starzeję się i nie mam czasu ani pomysłu, jak opowiedzieć ci całą historię od początku. Musisz poprosić o to rodziców. Wiedz tylko, że ta szkatułka ma czarodziejską moc Romów - pomoże ci znaleźć miłość tam, gdzie będziesz jej szukał. Używaj jej ostrożnie, wtedy przyniesie ci dużo szczęścia. Jeśli zmanujesz dar, będziesz miał kłopoty”.

Mimo iż Michael długo wysilał wzrok, żeby odczytać niewyraźny podpis, odgadł tylko jego ostatni człon - „Magda”. Nie przypuszczał, że zostawili na Węgrzech jakichś bliskich krewnych, ale kiedy myślał o tym dłużej, przypomniał

sobie jednak, że dawno temu ojciec opowiadał coś o ciotecznej babce, Magdzie.

Przeczytał dziwny list po raz drugi. „Czarodziejska moc Romów”... czyli magia cygańska - tyle to nawet on wiedział. Jego ojciec był z pochodzenia Cyganem, ale nie znał chyba żadnych rodzinnych sekretów. Pech chciał, że rodzice wybrali się niedawno na rejs po Pacyfiku, nie mógł więc do nich zadzwonić, żeby spytać, co to wszystko może znaczyć.

Zagłębił rękę w pudełku i wyjął z niej szkatułkę inkrustowaną w orientalne wzory: półksiężycy, gwiazdy i wiele innych ornamentów.

Ciekawy, czy jest coś w środku, Michael uniósł wieczko...

ROZDZIAŁ DRUGI

- Zrobione! - zawołała z kuchni Brett.
- Co? - Michael podniósł na nią wzrok znad szkatułki.
- Naprawiłam twój piecyk. Jest jak nowy. I włożyłam nową żarówkę. Hej, dobrze się czujesz?

Zakręciło mu się w głowie. Nabrał głęboko powietrza i zmrużył oczy... Czuł się bardzo dziwnie. Może złapał grypę albo jakieś inne świństwo? Tłumaczyłoby to falę gorąca, która oblała go znieńacka i rozpułyła się po całym ciele. Przez głowę przemknęła mu myśl, że jej źródłem może być cygańska szkatułka. Nie, oczywiście, że to zwyczajna grypa. Tak pechowy dzień nie mógł się zakończyć niczym lepszym.

Siłą woli otworzył powieki, żeby sprawdzić, czy Brett Munro istnieje na jawie. Odetchnął z ulgą. Światło lampy za jej głową stwarzało złudzenie aureoli wokół ciemnych włosów. Widok ten zaparł Michaelowi dech w piersiach. Wydała mu się naprawdę piękna.

Brett, zahipnotyzowana jego spojrzeniem, stała jak posąg, niezdolna wykrztusić słowa ani oderwać od niego wzroku. Widziała takie sceny na filmach, ale sama nie miała nigdy do czynienia z magicznymi praktykami, a już na pewno nie doświadczyła ich na sobie. To zdarzyło się jej pierwszy raz. Po raz pierwszy gotowa była uwierzyć w czary. Niewiele z tego

rozumiała, ale czuła przez skórę, że dzieje się coś niezwykłego, co może mieć dramatyczne następstwa.

Szkatułka przechyliła się w drżących rękach Michaela i wieczko opadło. Powietrze przeszył ostry dźwięk.

Widząc, że Michael chwieje się na nogach, Brett otrząsnęła się natychmiast i rzuciła ku niemu z wyciągniętymi ramionami.

- Odłóż gdzieś tę szkatułkę, bo upuścisz ją na podłogę. Pozwól... - Nie czekając na odpowiedź, postawiła kłopotliwy przedmiot na wieży stereo. - Mebli masz tu niewiele - mruknięła, podprowadzając go starego fotela z podnóżkiem, jedynego sprzętu w pokoju, na którym mógł usiąść.

- Żadnych aksamitnych kanap - szepnął niewyraźnie i zamknął oczy.

Aksamitne kanapy? Uznała, że Michael zaczął majaczyć. Na dodatek był błydy jak ściana. Przyłożyła dłoń do jego czoła.

- Jadłeś coś dzisiaj?

- Jakbym słyszał swoją matkę.

Nie zdziwiła się. Przywykła do tego, że mężczyźni dostrzegają w niej albo cechy chłopięce, albo silny instynkt opiekuńczy.

- Odpowiedz na pytanie. Co dzisiaj jadłeś?

- Miałem wystarczająco dużo kłopotów, żeby zarobić na niestrawność.

- Czy poza kłopotami - Brett nie dawała za wygraną - zaserwowałeś sobie coś na śniadanie albo obiad?

- Tak, kłopoty z wodą sodową i lodem od samego rana.

Brett z trudem powstrzymała uśmiech. Coś takiego... Jej potencjalny pracodawca miał poczucie humoru!

- Poczuliś się lepiej, gdybyś zjadł coś konkretnego.

- Moja matka wciąż mi to powtarza.

- Przyznaj się: warto zaglądać do twojej lodówki? Znajdę w niej jakieś jedzenie czy nie?

- Dla mnie to taka sama zagadka jak dla ciebie. Rzadko do niej zaglądam.

Zamiast lodówki otworzyła szafkę, w której znalazła dwie puszki zupy.

- Wolisz jarzynową czy krem z pieczarek?

- Wolałbym naprawić w końcu ten cholerny podgrzewacz - odparł rozgniewany, spoglądając na sufit w chwili, kiedy państwo Stephanopolis wznowili marsz protestacyjny.

- Zdaje się, że ktoś na górze jest bardzo niezadowolony.

- Brett rzuciła Michaelowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Nie oni jedni - warknął.

- Zupa będzie za minutę. Wybrałam pieczarkową. Zrobię teraz kilka grzanek... - Zanim skończyła prezentację menu, danie było gotowe. - Uważaj, gorąca - powiedziała z uśmiechem, podając mu talerz.

- Dzięki. Jeżeli naprawiasz podgrzewacze wody równie szybko jak gotujesz zupę, dostaniesz tę robotę - usłyszał własny głos.

- W takim razie idę do piwnicy rzucić okiem na twój podgrzewacz. Nie martw się, jedz spokojnie, znajdę go sama - powiedziała z dobrotliwym uśmiechem.

Nie martw się? Michael martwił się coraz bardziej. Był wściekły na siebie, że zaproponował jej tę pracę. Co za lichy go podkusiło?! Nie lichy, tylko rozpaczliwa bezsilność. W połączeniu z głodem i brakiem snu.

Postawił pusty talerz na podłodze i opadł z powrotem na oparcie fotela. Nie pamiętał momentu, w którym zamknął

oczy, ale kiedy je otworzył, Brett stała przed nim z triumfującym uśmiechem na twarzy.

- Udało mi się! Podgrzewacz działa! W całym domu będzie za chwilę gorąca woda.

Michael z wrażenia oniemiał. Wiadomość ta przeraziła go w większym stopniu, niż ucieszyła. Teraz musiał zadać sobie pytanie o cenę, jaką przyjdzie mu zapłacić za to, że przyjmuje do pracy Brett Munro... Nie chodziło oczywiście o pensję. Jej wysokość - niewielką - podał w ogłoszeniu, ale w umowie proponował też wolne od czynszu mieszkanie w suterenie.

- Zobaczysz, nie pożałujesz tej decyzji. - Brett mówiła podnieconym głosem, nie zważając na fakt, że Michael nie powiedział jeszcze, że ją przyjmuje. Nie chciała dać mu najmniejszej szansy na wycofanie się z umowy.

- Co właściwie wysiadło w tym podgrzewaczu? - spytał Michael, idąc do kuchni. - Zresztą lepiej mi nie mów. - Odkręcił niecierpliwie kran z ciepłą wodą. Poleciała z niego naprawdę ciepła woda. A niech to...

Dopiero kiedy usłyszał stłumione okrzyki radości dobiegające z mieszkania Stephanopolisów, zdał sobie sprawę, jak bardzo powinien być wdzięczny losowi za Brett. Tak, nareszcie znalazł konserwatora - prawdziwą „złotą rączkę” - szkoda tylko, że był on kobietą, i to taką, która zrobiła na nim piorunujące wrażenie.

Ale słowo się rzekło - nie wyobrażał sobie, żeby ktośkolwiek mógł zarzucić Michaelowi Janosowi, że złamał słowo. Obiecał tej kobiecie posadę konserwatora budynku, więc musiał obietnicy dotrzymać. Swoją drogą wątpił, żeby Brett wytrzymała zbyt długo. Kiedy przekona się, jak wiele jest do zrobienia, ile rzeczy trzeba naprawić w tym dziwacz-

nym domu, sama zrezygnuje. Jeśli ma choć odrobinę rozsądku.

- To nie jest duże mieszkanie - ostrzegł ją Michael, zanim otworzył drzwi.

- Nie szkodzi. Mam mało rzeczy.

- Trzeba by w nie włożyć sporo pracy.

- Potrafię malować ściany.

Marszcząc z wysiłku czoło, Michael zastanawiał się, czym można by tę upartą kobietę zniechęcić. Wtem jego wzrok przyciągnął odbłask słońca w jej włosach. Przypomniał sobie scenę z kuchni, kiedy światło padające od tyłu stworzyło złudzenie aureoli wokół jej twarzy.

Brett nie była typem kobiety, na którą w zwykłych okolicznościach zwróciłby uwagę. Niespokojna, ruchliwa, kipiąca energią, zapewne wszystko w swoim życiu traktowała z podobną pasją, z jaką krążyła teraz po pokoju, oceniając jego rozmiary.

- Fantastycznie! - krzyknęła. - Okna wychodzą na południe, światła jest dosyć.

- Są bardzo małe.

- Zależy, kto w nie patrzy... - odparła z determinacją w głosie, krzyżując na piersi ramiona.

- Tak, być może... - Michael spieszył się, zupełnie nie pojmując swojej reakcji. - Jeśli chodzi o kuchnię, wszystko działa. O dziwo... - mruknął pod nosem. - Podobno ten ohydny zielony kolor był kiedyś modny.

- Awokado.

- Nie jadam.

- Chodzi mi kolor lodówki i szafek. Szczyt mody w latach sześćdziesiątych.

- To znaczy, że ta lodówka może być w moim wieku.

Brett przyjrzała się Michaelowi z taką samą uwagą, z jaką chwilę wcześniej oglądała lodówkę. Początkowa niechęć do tego posepnego - jak jej się wydało w pierwszej chwili - mężczyzny zaczęła przeradzać się w fascynację. Niedobrze, pomyślała, zdając sobie sprawę, że jeśli zależało jej na pracy, powinna go traktować wyłącznie jak pracodawcę.

Na szczęście nie brakowało jej pewności siebie. Znała swoje umiejętności i wiedziała, że ten dom może uratować jedynie czuła ręka fachowca.

Sprawne akcje ratunkowe były specjalnością Brett. Reperowała najróżniejsze rzeczy - piece, kuchenki, ale także ratowała mężczyzn, którym brakowało zrozumienia, zabłąkane zwierzęta, które trzeba było nakarmić. Pracowała nad nimi dotąd, dopóki nie zaczynały działać samodzielnie. Tylko że Michael Janos nie wyglądał na mężczyznę potrzebującego jakiegokolwiek pomocy... Był typowym odludkiem. Samotnym wilkiem - ale nawet wilki kojarzyły się w pary, i to na całe życie. Prawdziwie samotne były te, które straciły partnera. Czyżby to właśnie przydarzyło się Michaelowi?

Przechyliła lekko głowę i zjrzała mu prosto w oczy. Zamiast znaleźć w nich odpowiedź na swoje pytanie, zauważyła, że wpatruje się w nią z identyczną ciekawością. A oczy miał nieprawdopodobne. Czuła, że mogłaby w nie patrzeć bez końca, jak gdyby już kiedyś, w jakiejś nieokreślonej przeszłości, spędziła w zasięgu jego wzroku całe życie. Zabawne, bo nigdy przedtem się nie spotkali. Nie zapomniałaby przecież takiej twarzy... Mimo pewnych szlachetnych rysów było w niej coś dzikiego - wystające kości policzkowe, ostro zarysowana linia podbródka. Nie pasował do żadnego męskiego stereotypu - pomijając może jego szowinistyczne przekona-

nie, że kobieta nie może być dobrym mechanikiem. Wspomnienie ich pierwszej rozmowy było jak zerwanie plastra ze świeżej rany. Odwróciła głowę w przeciwną stronę.

Próbując skoncentrować uwagę na czymś innym, zaczęła planować w wyobraźni, w jaki sposób urządzi mieszkanie, które składało się z jednego wąskiego pokoju, maleńkiej kuchni i łazienki. Dla zawodowego projektanta wnętrz - koszmara. Brett widziała w nim własny dom.

Michael znał ten rodzaj spojrzenia - tęskny wzrok kobiety, która szuka miejsca na gniazdo. Ilekroć dostrzegał to w czyichś oczach, wpadał w panikę.

- Powinnaś poznać lokatorów - powiedział oschle.

Miał nadzieję, że jeśli mieszkanie w suterenie nie zdołało zniechęcić tej upartej dziewczyny, na pewno zrzędniejsza mina po rozmowie z tymi ludźmi. Nawet jeśli nie oni sami, to ich długa lista napraw sprawi, że Brett ucieknie gdzie pieprz rośnie. Chyba że okaże się całkowicie pozbawiona rozsądku...

Kiedy znalazł się z nią przed drzwiami mieszkania sąsiadującego z jego własnym, miał uczucie, że prowadzi na rzeź owieczkę. Zadudnił głośno w drzwi, wiedząc, że obie lokatorki mają przytępiony słuch. Otworzyła pani Weiskopf.

- Czyżby przyszedł pan naprawić cieknący kran?

- Nie ja, naprawi go ta pani - usłyszał własny głos.

- Co proszę? - spytała podejrzliwie staruszka. - Czy to jakiś żart?

- Żaden żart, pani Weiskopf, przedstawiam pani Brett Munro - naszego nowego konserwatora.

- Już chyba nic lepszego od najęcia kobiety do męskiej pracy nie mógł pan wymyślić - powiedziała z przekąsem starsza pani.

- Kto tam przyszedł? - zawołała z głębi mieszkania pani Martinez. - Wypuszczasz na korytarz całe ciepło.

- W tym okropnie pieprznym jedzeniu, które właśnie gotujesz, jest tyle piekielnego ciepła, że można by nim ogrzać całą kamienicę - odparowała natychmiast pani Weiskopf.

- To pańska narzeczona? - spytała pani Martinez z błyskiem w oku godnym prawdziwej swatki.

- Nie, pani Munro jest nowym konserwatorem domu. Przyjąłem ją do pracy.

- Do pracy...? - powtórzyła pani Martinez z uniesionymi brwiami.

- Jeśli panie pozwolą - odezwała się Brett - zerknę teraz na ten ciekący kran, żeby zorientować się, o co chodzi, a później przyjdę z narzędziami i go naprawię.

- Dzisiaj? - Pani Weiskopf i Michael spytali jednocześnie.

- Czy nie zależy państwu, żebym zaczęła jak najwcześniej?

- Tak, oczywiście, ale...

- Może być dzisiaj po południu - przerwała Michaelowi pani Weiskopf. - Proszę za mną. Toaleta też nie działa, jak trzeba. Z rezerwuaru bez przerwy cieknie woda.

Dwadzieścia minut później Brett opuszczała mieszkanie starszych pań, żegnana pochwalnymi okrzykami, z salaterką kiszonej kapusty od pani Weiskopf oraz słoikiem pikantnego sosu od pani Martinez.

Michael nie mógł wprost uwierzyć w ich gościnność. Odkąd poznał te kobiety, traktowały go jak kozła ofiarnego - człowieka, którego mogłyby obarczyć winą za wszystkie niepowodzenia w ich długim, bogatym w doniosłe wydarzenia życiu. A Brett, tylko dzięki temu, że zajrzała do łazienki,

pogrzebała w rezerwarze i obiecała wymienić uszczelki w kranie, zyskała ich dozgonną wdzięczność.

Odniósł wrażenie, że jego owieczka przeobraziła się w lwa.

- Kto następny? - zapytała ożywionym głosem.

Zaprowadził Brett na drugie piętro, do Stephanopolisów, pewien, że z parą zgorzkniałych Greków pójdzie jej znacznie trudniej.' Pomylił się. Zanim zdążył zapukać do drzwi, pan Stephanopolis sam je otworzył i wykrzykując coś w swoim ojczystym języku, pocałował Brett w oba policzki.

- Pani Martinez zadzwoniła do nas przed chwilą, żeby opowiedzieć o tym aniele, który zjawił się, żeby nas ratować!

Przypomniawszy sobie plotki o chorobliwej zazdrości pani Stephanopolis, Michael wyrwał Brett z objęć Greka i przyciągnął ją do siebie, otaczając ramieniem.

Ogarnęło ją uczucie błogiej przyjemności. Poddała się temu, przymykając lekko oczy. Kiedy poczuła gorący oddech Michaela we włosach i na odsłoniętym karku, dreszcz przeszły ją wzdłuż kręgosłupa. Nigdy dotąd nie przeżyła czegoś podobnego - cudownej, obeszładniającej rozkoszy z powodu przypadkowego dotyku.

- O ile dobrze zrozumiałam - odezwała się pani Stephanopolis, stając u boku męża - powiedziałaś, że ta młoda osoba nie jest dziewczyną pana Janosa.

- Nie jestem - pospieszyła z wyjaśnieniem Brett, odsuwając się od Michaela. - Jestem nowym konserwatorem tego domu.

- W moich czasach dziewczęta nie imają się takich zawodów - powiedziała z naganą w głosie pani Stephanopolis.

- A ja się cieszę, że znów mamy ciepłą wodę - wykrzyk-

nał jej mąż. - Dziś rano cudem tylko nie odmroziłem sobie intymnych części ciała.

- Ta młoda dziewczyna z pewnością nie życzy sobie słuchać o intymnych częściach twojego ciała - oświadczyła z zimną furią pani Stephanopolis, po czym oboje zaczęli dyskutować po grecku.

Brett rzuciła Michaelowi rozbawione spojrzenie. Jej twarz promieniała baskiem, który sprawił, że gwałtownie podniosło mu się ciśnienie krwi. I nie tylko.

Jakby nie dość było niespodzianek, po chwili i ona zaczęła mówić po grecku, wprawiając w kompletne osłupienie kłócących się małżonków.

Początkowa rezerwa, z jaką pani Stephanopolis przyjęła Brett, wyparowała bez śladu. Objąwszy ją ramieniem, zaprosiła do środka - zostawiając za progiem Michaela jak nieproszonego gościa.

Pół godziny później Brett wyszła na korytarz z butelką ouzo i uśmiechem na twarzy.

- To szczęście mieć takich sympatycznych lokatorów.
- O tak...
- Kogo jeszcze powinnam poznać?
- Zostali Lincolnowie. To tutaj, następne drzwi, ale skoro radzisz sobie tak dobrze, idź do nich sama. Nie muszę cię trzymać za rękę, prawda?

Perspektywa dotyku jego dłoni wydała się Brett kusząca, choć nie dlatego, żeby się bała zostać sama. Z samotnością była za pan brat, nieźle sobie z nią radziła, również zawieranie nowych znajomości nie sprawiało jej żadnych kłopotów.

- Zgoda. Przedstawię się Lincolnom, a potem pójde po swoje rzeczy i jeszcze dzisiaj zabiorę się do tego ciekącego kranu, tak jak obiecałam Friedzie i Consueli.

- Komu?

- Friedzie Weiskopf i Consueli Martinez.

- Aha... - Michael z trudem przyjął do wiadomości, że jego sąsiadki mają swoje imiona. Dla niego były tylko potworami zza ściany. - Tak, rzeczywiście.

- A więc spotkamy się później. Dzięki, że byłeś tak miły i przedstawiłeś mnie lokatorom z drugiego piętra.

- Miły mam na drugie imię - zakpił Michael.

Powinieneś nazywać się Seksowny, pomyślała. Patrząc, jak Michael zbiega po dwa schodki naraz, odniosła wrażenie, że spieszy się, jakby dokąś uciekał. I zauważyła, że nosi idealnie dopasowane dzinsy.

Kiedy zniknął z jej pola widzenia, zapukała do drzwi Lincolnów. Młoda czarnoskóra kobieta, z długimi włosami związanymi w koński ogon, otworzyła gwałtownie i wciągnęła ją za rękę do środka.

- Potrzebuję pomocy! - krzyczała. - Nie mogę zakręcić cholernego kranu nad wanną! Za chwilę będzie tu potop! I to bez Arki Noego!

Brett zostawiła przy drzwiach swoje podarunki i wbiegła za nią do łazienki.

- Mój mąż zna się na tym, ale jak na złość ma dzisiaj dyżur w szpitalu - jest pielęgniarzem. Odkryłam, że nareszcie jest ciepła woda, no i podkusiło mnie, żeby odkręcić ten cholerny kran. Nie mogłam się doczekać normalnej kąpieli.

Kiedy Brett udało się przerwać powódź, pani Lincoln wydała z siebie okrzyk zwycięstwa.

- Hura, dziewczyno, udało ci się! Uratowałam mnie! Dzięki! Ale... właściwie, kim ty do diabła jesteś?

- Mam na imię Brett - odpowiedziała z uśmiechem. - Jestem nowym konserwatorem urządzeń w tym domu. Moim

zadaniem będzie ponaprawiać tutaj różne rzeczy, między innymi ten kran. Kiedy następnym razem przydarzy ci się coś podobnego, wyjmij z wanny korek.

- Jakoś nie przyszło mi to do głowy. Jestem Keisha Lincoln, a mój mąż ma na imię Tyrone. Boże, tak się wystraszyłam, że mój organizm gwałtownie domaga się kofeiny. Napijesz się ze mną kawy? Mam ciotkę w Nowym Orleanie, która przysłała mi najlepsze gatunki. O, widzę, że odwiedziłaś już naszych sąsiadów. - Keisha zerknęła na butelkę ouzo i dwie plastikowe miseczki, które Brett zostawiła przed drzwiami.

- Przyjęli mnie bardzo miło.

- Dla nas są mniej wylewni, ale w końcu wprowadziliśmy się do tego domu dopiero półtora roku temu. Reszta lokatorów mieszka tu od kilkudziesięciu lat. Poza nowym właścicielem. Wszedł w ten interes kilka tygodni temu i ma już chyba po dziurki w nosie tej starej rudery.

- To piękny dom.

- Tak ci się wydaje, bo w nim nie mieszkasz.

- Już mieszkam. Dziś po południu wprowadzam się do mieszkania w suterenie.

- Działasz jak błyskawica, brawo. Też jestem taka. A najszybsza byłam, kiedy poznałam Tyrone'a. I wiem, co to znaczy mieć męski zawód. Pracuję w ochronie BPG.

- BPG?

- Biblioteka Publiczna Główna. Jezu, ale się cieszę, że będę miała w tym domu kogoś w swoim wieku. No to co z tą kofeiną?

- Dobry pomysł. Ale co z twoją kąpielą?

- Z kranu leciał taki wrzątek, że i tak nie wejść do wanny wcześniej niż za dziesięć minut. Chodź, ja będę parzyła kawę, a ty mi powiedz, co myślisz o swoim nowym szefie.

Michael wchodził do mieszkania, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku.

- Słucham? - Usłyszał tylko głośny trzask. - Halo? - powtórzył głośniej.

- To ja... twój ojciec.

- Gdzie ty jesteś? Co tam się dzieje?

- Wszystko w porządku. Dzwonię z budki. Na Bali telefony nie działają najlepiej... - Następne słowa zagłuszył jeszcze głośniejszy hałas. - ..mama nalegała, żebym do ciebie zadzwonił... spytał, co u ciebie słyhać i czy wszystko w porządku.

- W porządku, nic się nie dzieje. Rozmawiałem wczoraj z Gaylynn.

- To dobrze, bardzo dobrze.

- Poczekaj, tato, nie odkładaj jeszcze słuchawki, chciałbym cię o coś zapatac. Co to za historia z jakąś rodzinną kłatwą?

ROZDZIAŁ TRZECI

Michael usłyszał kolejną serię trzasków, a potem rozpaczliwe wołanie: „Co takiego?!”

- Pytałem, czy wiesz coś o rodzinnej klątwie.
- Wątpisz? W co wątpisz?
- Nie wątpię, tylko pytam, czy wiesz coś o klątwie! Dostałem dzisiaj przesyłkę. Szkatułkę z Węgier!
- Który Węgier? Nic nie rozumiem, synu. Muszę już kończyć, bo twoja matka ogląda rzeźbę wielkości kilkupiętrowej kamienicy. Ciagle jej tłumaczę, że kupiliśmy już za dużo pamiątek. Odezwę się za kilka dni.

Odłożył z pasją słuchawkę, mrużąc pod nosem cygańskie przekleństwa. Jego wzrok powędrował w kierunku tajemniczej szkatułki, która leżała w tym samym miejscu, w którym zostawiła ją Brett. Mimo iż Michael miał żywszą świadomość własnego pochodzenia niż jego młodsze rodzeństwo, nie przejawiał skłonności do wiary w zabobony.

To była zwykła szkatułka. Nic więcej. Zdjął ją z wieży stereo i przyjrzał się dokładnie grawerowanemu wieczku. Jego lewy róg ozdabiały cztery półksiężycy zawieszane nad krajobrazem, którego głównymi elementami były palmy i płynący żaglowiec. Po prawej stronie słońce zachodziło ponad górami, a w samym środku słonecznej kuli znajdował się czerwony kamień.

Powoli uniósł wieko. Dziwne uczucie, którego doznał

w obecności Brett, kiedy otwierał szkatułkę po raz pierwszy, nie powtórzyło się - co utwierdziło go w przekonaniu, iż zasłabł wtedy z głodu i niewyspania, a nie z powodu rodzinnej klątwy.

Na przekór zaś temu, co podejrzewał, szkatułka nie była pusta. Drżącymi palcami wyjął z niej srebrny kluczyk - najpiękniejsze dzieło sztuki grawerskiej, jakie kiedykolwiek widział. Zamarł z wrażenia. Wpatrywał się jak zauroczony w tajemniczy, bardzo stary przedmiot, z dziwnym przeczuciem, że łączy go z nim coś ważnego.

Michael od dziecka miał upodobanie do tajemniczych historii. Uwielbiał rozwiązywać zagadki, znajdować logiczne wyjaśnienie sytuacji na pozór nieprawdopodobnych. Swoje olśnienie tajemniczą szkatułką wytłumaczyłby z łatwością. Nagłego olśnienia Brett Munro nie pojmował.

Spotkał ją dopiero późnym popołudniem przed bramą domu. Zauważył, że kłóci się i mocuje z młodymi ludźmi wyglądającymi na uliczną bandę punków, a przedmiotem ich sporu jest podwójny materac do spania.

- Daj mi go, powiedziałam - rozkazała rzeczowym tonem.

Michael wyrósł przy nich jak spod ziemi.

- Zjeżdżać stąd - warknął do chłopców trzymających kurczowo materac.

- Wszystko w porządku, Michael - powiedziała łagodnie Brett.

- Nie wydaje mi się. Nie słyszałeś, co powiedziałem?

- zwrócił się do chłopaka, który stał najbliżej.

- To są moi przyjaciele. Pomagają mi w przeprowadzce. Chciałam wnieść z nimi ten materac, bo dla nich samych jest za ciężki.

- Kim jest ten sztywniak? - zapytał wojowniczym tonem chłopak w czapce baseballowej.

- To mój nowy szef.

- Hej, człowieku, tylko dobrze ją traktuj, bo...

- Juan - przerwała mu Brett - wiesz, że ja sama potrafię o siebie zadbać. A teraz wnieście ten materac - we dwóch, ostrożnie, nie chcę, żeby któremuś coś się stało. No już.

- Skąd wytrzasnąłeś tych młodocianych przestępców? - spytał Michael, kiedy chłopcy ruszyli posłusznie w stronę domu.

- Nie bardzo sobie radzisz z dziećmi, prawda? Denerwują cię.

- Mam młodszą siostrę i brata - odpowiedział zirytowany. - I świetnie sobie z nimi radziłem.

- Chodzi mi o twoje kontakty z dziećmi teraz, kiedy sam jesteś dorosły.

Miała rację. Michael słynął w swojej rodzinie z braku „podejścia do dzieci”. Unikał ich, bo czuł się przy nich nieudolny i bezradny - co nie zmieniało faktu, że Brett swoją obcesową uwagą dotknęła go. Tym bardziej że stanął w jej obronie.

- Nie zapomnij potem zamknąć drzwi frontowych - mruknął pośpiesznie.

- Nie używamy ich. Wnosimy moje manele przez tylne wejście, żeby nie drażnić lokatorów. Zresztą tędy mam bliżej - kilka schodków w dół i jestem u siebie.

- Wiem... Ale skąd ty to wiesz? Nie pokazywałem ci tylnych drzwi, bo zamek się zaciął.

- Trzeba go było tylko naoliwić. Działa jak szwajcarski zegarek.

- Świetnie.

Zastanawiała się, dlaczego Michael ma kwaśną minę.

Czyżby spodziewał się, że zapyta go najpierw o zgodę? Jako konserwator budynku nie może pytać go zdanie w sprawie każdej z tysiąca rzeczy, które w tym pięknym starym domu wymagały naprawy.

- Nie chcesz przypadkiem, żebym pytała cię o zgodę przed każdą naprawą?

Pokręcił głową, zdając sobie sprawę, że musiałyby go pytać mniej więcej co pięć minut.

- Ale chciałbym znać koszty wszystkich reperacji. Umówmy się tak, że każdy rachunek powyżej trzydziestu dolarów wymaga mojej akceptacji. Niestety, budżet remontowy jest ograniczony. Mam zamiar doprowadzić ten dom do stanu używalności, a potem go sprzedać.

- Sprzedać? Po co?

- Dla zysku - odparł zimno.

- Naprawdę mógłbyś to zrobić?

- Ale dlaczego ty się tym martwisz? Masz tę pracę, nie musisz się przejmować. Zrobienie tu jakiego takiego porządku może nam zająć cały rok.

- Wszyscy lokatorzy znają twoje plany?

- Dlaczego sądzisz, że moje plany mogłyby ich zmartwić?

- Dlatego, że niektórzy z nich mieszkają tu od bardzo dawna.

- Za to ja jestem właścicielem tego domu od bardzo niedawna. I najbardziej martwi mnie stan mojego konta. Nie mogę sobie pozwolić na topienie nieograniczonej ilości pieniędzy w tej skarbonce bez dna. Poza tym rzadko rozmawiam z lokatorami. Zauważyłaś, żenię darzą mnie szczególną sympatią... Prawdę mówiąc, czasami dają do zrozumienia, że gdyby mogli, powiesiliby mnie na suchej gałęzi.

- Gdybym miała pieniądze, kupiłabym od ciebie ten dom bez zastanowienia.

- Zobaczyłaś go dzisiaj po raz pierwszy.
- Wiem dobrze, co mi się podoba.

Zauważył, że Brett ma rozpalone policzki - z podniecenia i z powodu zimnego powietrza. Mimo że świeciło jeszcze późne popołudniowe słońce, było już tylko wątłym cieniem samego siebie. Zima postanowiła zostać na dłużej. Tak jak Brett.

Dobyttek, z którym się wprowadziła, był mniej niż skromny - fotel na biegunach pamiętający lepsze czasy, stół, trochę ogrodowych mebli, kilka kartonowych pudeł.

- Jakim sposobem udało ci się tak szybko zorganizować przeprowadzkę? Nie musiałaś załatwiać żadnych formalności z właścicielem twojego poprzedniego mieszkania?

- Nie. Mieszkałam u przyjaciół, przechowywałam u nich spakowane rzeczy.

Odpowiedź Brett uświadomiła Michaelowi, że chociaż wręczyła mu swój numer ubezpieczenia, nie sprawdził jej referencji, a nawet o nie nie prosił. To zupełnie do niego niepodobne... Ta kobieta mogła mieć przeszłość kryminalną. Co prawda, z czystym sumieniem mógł o sobie powiedzieć, że zna się na ludziach, ale od chwili kiedy poznał Brett, instynkt zawiódł go już kilka razy. Postanowił włączyć komputer, jak tylko wróci do siebie, połączyć się z komputerem biurowym i sprawdzić kartotekę Brett Munro.

Tymczasem idąc za nią i jej małoletnimi przyjaciółmi dźwigającymi wielki materac, Michael nie miał wątpliwości, że ci chłopcy ją uwielbiają. Kiedy opróżnili furgonetkę, Brett przyniosła im coś do przegryzienia. Sos pani Martinez wzbudził szczerzy zachwyt, ale Michael zauważył, że nie próbowała nawet częstować ich kiszoną kapustą pani Weiskopf. I słuszenie.

- Oni nie są przestępcami - powiedziała cicho, zwolniwszy nagle kroku.

Kiedy dotknęła jego ramienia, zapragnął objąć ją mocno i pocałować. Oszołomiony, zdziwił się po chwili, że tego nie zrobił. Jeśli tak się rzeczy mają, po co do diabła z tym walczy? Dlaczego stara się powstrzymać?

Cóż z tego, że Brett jest inna niż wszystkie kobiety, które go dotąd pociągały? Nie szkodzi. Jest atrakcyjna. Ma idealny wzrost... Tak, tego mógł być pewien, bo pamiętał, w jaki sposób wsunęła rękę pod jego ramię.

Nagle przez głowę przemknęła mu myśl, że cała ta niesamowita historia z kobietą w roli „złotej rączki” okaże się szczęśliwa w skutkach.

- Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób? - spytała podejrzliwie.

- W jaki sposób?

- Twoje oczy mówią, ja jestem mężczyzną, ty kobietą.

- Bo ja jestem mężczyzną. A ty jesteś kobietą. - Wzruszył lekko ramionami. - A czy to dziwne, że patrzę na ciebie w ten sposób?

- Żebyś wiedział. Nie jestem tego rodzaju kobietą...

- Jakiego rodzaju?

- Mówię o kobietach, na widok których faceci dostają zeza.

Michael wyprostował się i spiorunował ją wzrokiem.

- No właśnie - powiedziała łagodnie. - Raczej z takim twoim spojrzeniem jestem oswojona.

- Nie zapominaj, z łaski swojej, że nic o mnie nie wiesz. Poznaliśmy się dzisiaj. Nigdy przedtem cię nie spotkałem.

- Nie musisz mi o tym przypominać.

Brett nadal nie miała pojęcia, co się z nią działo kilka godzin wcześniej, kiedy wyszła z kuchni i powiedziała mu, że naprawiła piecyk. Czuła się tak dziwnie... Miała wrażenie, że jest przywiązana do Michaela niewidzialnym łańcuchem. Tym swoim niesamowitym, świdrującym spojrzeniem wdarł się do jej duszy. Jeszcze się po tym nie pozbierała. Mężczyźni nigdy tak na nią nie patrzyli. Chyba że mieli jakiś interes - potrzebowali pomocy albo chcieli pożyczyć pieniędzy. W każdym innym przypadku traktowali ją jak chłopaka. Z jednym wyjątkiem...

Czując, że zbliża się znajomy bdl - nieuchronny jak zimne macki mgły znad jeziora - postanowiła przestawić myśli na inne tory: skoncentrować się na przeprowadzce oraz prowizorycznym choćby urządzeniu nowego mieszkania.

Ani na chwilę nie przestała czuć na sobie jego uporczywego spojrzenia, mimo iż na pierwszy rzut oka Michael zachowywał się jak postronny obserwator. Przyglądał się ich krzątaniu, w najmniejszym stopniu nie angażując się w akcję.

- Może wejdiesz do środka na kawę... albo podwieczerek? - Brett zaprosiła Michaela, nie umiejąc zostawić go za drzwiami - stojącego bez słowa z utkwionym w nią wzrokiem. - Mamy mnóstwo jedzenia.

Chciał, oczywiście, odmówić. Marnowanie czasu w towarzystwie hałaśliwych nastolatków wydało mu się niedorzecznym pomysłem, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu odpowiedź nie przechodziła mu przez gardło. Jak gdyby nie był sobą.

- Chyba nie zadałam ci zbyt trudnego pytania? - odezwała się Brett po chwili kłopotliwego milczenia. - Posłuchaj, nie zrozum mnie źle, ale zastanawiam się - i pewnie nie tylko ja - czy ty potrafisz...

- Czy co potrafię? - spytał lodowatym głosem. - Do-kończ pytanie.

- Czy potrafisz się od czasu do czasu rozchmurzyć.

Na pewno potrafił swoim dzikim spojrzeniem przerazić niejedną kobietę. Ale nie Brett.

- Nie wszyscy są radośni jak skowronki.

Zarumieniła się. Więc tak o niej myślał? Zdawała sobie sprawę, że Michael nie jest osamotniony w tej opinii. Gdyby oni wszyscy wiedzieli, jak bardzo się mylą... Ale niby skąd mieli wiedzieć?

- Przepraszam, zdaje się, że palnąłem coś jak idiota. - Michael pogładził jej policzek. - Przepraszam.

Zamarło w niej serce. Jego dotyk był ciepły i delikatny.

- Hej, Brett, gdzie mam postawić to pudło? - zapytał trzy-nastoletni Juan.

Odsunęła się od Michaela - przyznając się w duszy, że robi to z ciężkim sercem. On tymczasem wszedł za nią do mieszkania i ze starego dzbanka, który musiał pamiętać drugą wojnę światową, nalał sobie bez pytania kawy. Potem sącząc ją powoli, znosił ze stoickim spokojem podejrzliwe spojrzenia chłopców. W każdym błysku ich oczu było ostrzeżenie.

Kiedy Brett wyszła z pokoju, postanowił wykorzystać szansę i dowiedzieć o niej czegoś więcej.

- Masz na imię Juan? - zapytał chłopca w baseballowej czapce.

- Zgadza się. Potrzebna ci do czegoś ta informacja?

- Po co ten napastliwy ton? Dlaczego myślisz, że Brett potrzebuje ochrony?

- Bo ona jest typem Matki Teresy - odparł po dłuższej chwili, ani na sekundę nie odwracając wzroku od twarzy Michaela. - Za dobra. Już jej się przez to dostało.

- Od kogo?

- Ona o tym nie mówi - Juan wzruszył ramionami - a ja nie pytam. Wiem tylko, że odkąd Brett pracuje jako wolontariuszka w ośrodku, mamy inne życie. Ona rozumie.

- Co to za ośrodek?

- Ośrodek dla młodzieży, St. GerakTs. Dwie ulice stąd. Czyli na tyle blisko, żeby mieć na ciebie oko.

- Czy wyglądam na spanikowanego?

- Wyglądasz na sztywniaka, ale Brett powiedziała, że naprawdę to taki nie jesteś.

- A powiedziała, jaki naprawdę jestem?

- Samotny.

Ta opinia dotknęła go do żywego. Odstawił dzbanek z kawą, spojrzał jeszcze raz na Juana i wyszedł. Wolał własne towarzystwo. Nie widział żadnego powodu, żeby narażać się na imperytynencje jakiegoś przemądrzałego dzieciaka.

Kiedy zamknął za sobą drzwi własnego mieszkania, rzucił się do komputera, żeby dowiedzieć się czegoś pewnego o Brett. Okazało się, że ma trzydzieści lat i tylko pierwsze imię. Żadnej kryminalnej przeszłości. Furgonetka, którą przewiozła swój dobytek, należała do niej i była całkowicie spłacona. Miała tylko jedną kartę kredytową. Do tej pory spłacała ogromny rachunek za pobyt w szpitalu Northside i zabieg chirurgiczny, któremu poddała się prawie dwa lata temu.

Staż pracy miała niezbyt długi. Próbowwała niemal wszystkiego: zaczynała w barze hamburgerowym, była kelnerką w restauracji, ostatnio sprzedawczynią w sklepie komputerowym. Niewiele jej brakowało do zdobycia dyplomu z psychologii, choć studentką z doskoku była dłużej niż niektórzy politycy bywają prezydentami. Ostatnio nie chodziła na zajęcia, ale zapisała się na semestr zimowy.

Michael nie znalazł śladu informacji, która wskazywałaby na to, że Brett ma, albo miała, jakichkolwiek żyjących krewnych, nigdy też nie była mężatką. Zastanowiło go, dlaczego nie założyła rodziny. Z takim sercem i z taką sympatią do dzieci... Mogłaby być niezwykłą żoną. Na dodatek inteligentna. Opiekuńcza. Energiczna. Z charakterem. No i miała największe niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widział.

Nie miał już wątpliwości, że przyjmując ją do pracy, podjął mądrą decyzję. Logiczną, a to najważniejsze...

- Oszalałaś? - Michael krzyczał na Brett zaledwie tydzień później.

- Ja tylko...

- Przecież widzę, co robisz. Chcesz sobie złamać kark?! To jest dla ciebie za ciężkie, nie możesz dźwigać sama takich ciężarów!

- Ale ja tego nie dźwigałam. Zastosowałam dźwignię mechaniczną...

- Nie rób tego nigdy więcej - przerwał jej i odsunął spod okna wielką doniczkę. - A swoją drogą, po co to robisz? Czy te kwiaty nie mogły stać tam, gdzie stały?

- Muszę udroźnić grzejnik pod oknem, a ta donica go zasłaniała. Lokatorzy skarżyli się na zapowietrzone kaloryfery. Podobno tak w nich bulgotało, że nie mogli w nocy spać. Ten jest ostatni, z resztą zrobiłam już porządek. Muszę teraz odkręcić...

Zamiast skupić uwagę na instrukcji odpowietrzania grzejników, podziwiał, jak iskrzyły się jej oczy, kiedy o czymś mówiła. Czy spotkał już kiedyś kobietę z tak ekspresyjną twarzą? Nie przypominał sobie. I pomyśleć, że tyle entuzjazmu można poświęcić konserwacji kaloryferów...

- No więc, jak ci się tu żyje? Radzisz sobie jako tako z lokatorami? - zapytał tylko po to, żeby podtrzymać rozmowę, ponieważ doskonale znał odpowiedź na to pytanie.

Lokatorzy wychwalali ją pod niebiosa, skończyły się skargi, telefony o każdej porze dnia i nocy, marsze protestacyjne. Nareszcie znów miał warunki do pracy. Gdyby tylko zechciał, mógłby jej poświęcać cały swój czas i energię, jak przez ostatnie pięć lat. Gdyby zechciał... Na razie coraz częściej łapał się na tym, że leży beczynnienie, myśląc o Brett. Przed oczami miał jej uśmiechniętą twarz, promienie słońca odbijające się w krótkich czarnych włosach, słyszał jej śmiech, podziwiał sposób, w jaki ożywiała swoją obecnością nawet martwe przedmioty.

- Przyjemnie.

- Słucham?

- Powiedziałam, że żyje mi się przyjemnie. - Miała nadzieję, że Michael nie usłyszał drżenia w jej głosie. Znowu patrzył na nią jakimś dziwnym, niepokojącym wzrokiem. Zażenowana, mimowolnie podniosła rękę i potarła nią usta. - Mam brudną twarz? Coś jest nie tak... ?

- Nie. Wszystko w porządku.

- Przyglądasz mi się w taki sposób... - Zauważyła, że utkwił wzrok dokładnie w kąciку jej warg. Pochyliła się w stronę lustra, które wisiało tuż obok.

- Wyglądasz dobrze - zapewnił ją ochrypłym głosem. - Lepiej niż dobrze.

- Oczywiście - odparła lodowatym tonem, przekonana, że albo stara się być uprzejmy, albo jest ślepy. Jej wytarta bawełniana bluza pamiętała o wiele lepsze czasy, podobnie ona sama. Od rana nie czesała włosów. Zapomniała pomalować usta. Rzeczywiście, ktoś mógłby ją pomylić z Cindy Crawford!

- Nigdy więcej nie próbuj dźwigać tak ciężkich rzeczy.
- Wyciągnął rękę, żeby odgarnąć kosmyk włosów zasłaniający jej oczy. - Następnym razem poproś mnie albo kogoś innego o pomoc. Zgoda?

Brett kiwnęła machinalnie głową. Wystarczyło muśnięcie jego dłoni i poczuła się, jakby miała nogi z waty. Bicia jej serca nie zagłuszało nawet bulgotanie w kaloryferze. Michael wrócił do siebie, a ona stała dalej, nieporuszona, wyobrażając sobie, że wciąż na nią patrzy, bierze bez słowa na ręce i znosi do łóżka.

- Hej, co ci jest? - zapytała Keisha, która weszła do holu i omal nie wpadła na skamieniałą Brett. - Wyglądasz, jakby cię piorun poraził.

- Uhm - westchnęła rozmarzona. - I tak się czuję.

- Niedobrze...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zauważyłam, w jaki sposób patrzysz na Michaela. Co prawda facet od niedawna jest właścicielem tego domu, ale mówiłam ci, że pracuję w firmie detektywistyczno-ochroniarskiej. Michael jest dobrze znany w tym środowisku. Lubi pracować na własną rękę, swoje sprawy zawsze doprowadza do końca. Nic mu się nie wymyka z rąk.

- To chyba dobrze, co?

- Dziewczyno - Keisha wzruszyła ramionami - z tym facetem jeszcze nikt nie wygrał. Mówię też o kobietach. Często je zmienia i zauważa tylko ładne.

- Ładne? No to mam kłopot z głowy - mruknęła posępnie Brett. - Nic mi nie grozi.

- Hej, co to za mowa? Trochę więcej wiary w samą siebie! Masz mnóstwo zalet. W życiu nie spotkałam dziewczyny, która miałaby takie zdolności techniczne i znała się na wszy-

stkich możliwych urządzeniach, które ja potrafię tylko włączyć i wyłączać.

- Zdolności to ja może mam, gorzej z warunkami - odparła Brett, zerkając wymownie na swój mały biust.

- Nie słyszałaś nigdy o specjalnych biustonoszach? Moja siostra pracuje w sklepie z bielizną. Jeśli chcesz poprawić swoje... warunki, wpadniemy do niej, gdy będę miała dzień wolny.

- Nie wiem...

- Daj spokój. I tak muszę tam iść, żeby wybrać prezent gwiazdkowy od Tyrone'a.

- Sama wybierasz dla siebie prezenty?

- Rok temu kupił mi żelazko na parę. Co ty na to? Dlatego bezpieczniej będzie, jak sama coś wybiorę. A ty zrobiłaś już wszystkie zakupy? Boże Narodzenie za trzy tygodnie.

- Tak, prawie.

Mimo że Brett nie miała rodziny, zawsze sporządzała długą listę znajomych, o których nie zapominała w święta. Z pieniędzmi było, oczywiście, kruchp, dlatego obmyślanie podarunków, które kosztowałyby nie więcej niż pięć dolarów, stanowiło nie lada zadanie. Jednak zawsze jej się udawało. Potrzeba jest matką wynalazku, a ona w swoim życiu miała aż nadto okazji, żeby sztukę zaciskania pasa opanować do perfekcji.

- Wiesz już, o co poprosisz Świętego Mikołaja?

Wyobraziła sobie Michaela z kokardką na szyi, a potem ich dzieci biegnące między drzewami w ogrodzie.

- Mikołaj nie może dać mi tego, co bym naprawdę chciała - szepnęła z melancholią w głosie i natychmiast wyrzuciła z myśli niedościgłe marzenie. - Powiedz mi coś więcej o sklepie, w którym pracuje twoja siostra...

W tym samym czasie, kiedy Brett rozmawiała z Keishą, Michael próbował się porozumieć ze swoim ojcem.

- Na Fudzi telefony działają lepiej. Teraz cię słyszę.

- Tato, co ty wiesz o rodzinnej klątwie Janosów?

- Klątwe? Znowu chodzisz na wyścigi? Postawiłeś na złego konia?

- Tato, na wyścigach zagrałem tylko raz w życiu. Nie o tym mówię.

- To o czym?

- Dostałem przesyłkę z Węgier. Od kobiety, która podaje się za naszą krewną.

- To na pewno twoja cioteczna babka, Magda. Co ona takiego ci przysłała? - zapytał ojciec niepewnym głosem.

- Grawerowaną szkatułkę ze srebrnym kluczem w środku. I list. - Michael przeczytał go ojcu wyraźnie, nie opuszczając ani słowa. - Czy macz pojęcie, o co tu chodzi?

- Rzeczywiście jest pewne zaklęcie - przyznał, zanim następne słowa zagłuszył trzask w słuchawce.

- Poczekaj, nie zrozumiałem, co powiedziałaś! - krzyczał Michael. - Znowu coś nam przerywa rozmowę. Mówiłeś, że jest jakaś klątwa?

- Nie klątwa. Zaklęcie... *bahtali*.

- Nie rozumiem. Jesteś tam jeszcze?

Usłyszał jedynie kolejną serię trzasków.

- Słyszysz mnie? - krzyknął rozpaczliwie.

- Cały dom cię słyszy - powiedziała z przekąsem Brett, która niespodziewanie zjawiła się w przedpokoju jego mieszkania.

- Jak tu weszłaś? Mniejsza o to. Rozmawiam przez telefon.

- Spróbuję do ciebie zadzwonić, jak tylko dopłyniemy na Hawaje. - Ojciec Michaela najwyraźniej dał za wygraną.

- Tato, zaczekaj! Powiedz, co to jest *bahtali*.

Zamiast odpowiedzi usłyszał ciągły sygnał. Zaklął po węgiersku i z hukiem odłożył słuchawkę.

- Przepraszam, że ci przerwałam, ale drzwi były otwarte na oścież. Chciałeś, żebym uzgadniała z tobą każdy wydatek powyżej trzydziestu dolarów, a ja zapomniałam ci wcześniej powiedzieć, że w mieszkaniu Keishy trzeba wymienić baterię nad wanną i kran kuchenny.

- Znasz się na kluczach? - spytał cicho, wprawiając Brett w kompletne osłupienie.

- Słucham?

- Klucze. Co o nich wiesz?

- Służą do otwierania zamków. Dlaczego o to pytasz? Czy ktoś z lokatorów ma kłopot z zamkiem?

- A co byś powiedziała o takim...? - Michael otworzył cygańską szkatułkę, wyjął ze środka srebrny klucz i pokazał go Brett.

Poczuła się jak na najszybszej karuzeli świata. Świat wokół niej wirował w takim tempie, że straciła równowagę. Wyciągnęła przed siebie ręce, żeby się o coś oprzeć, ale nie znalazła niczego poza powietrzem... Ugięły się pod nią nogi, ale w tej samej sekundzie Michael chwycił ją w ramiona.

Słowa uwięzły jej w krtani, kiedy spojrzała mu w oczy. Wyglądał na równie oszołomionego jak ona. Pierwsze zdziwienie ustąpiło gwałtownej namiętaosci. Michael pochylił głowę i musnął wargami jej usta.

Najpierw błądził po nich językiem, delikatnie, kusząco, potem coraz zachłanniej, nie dając jej szansy na wahanie.

Brett czuła pod dłonią bicie jego serca. Dla niej to było o wiele więcej niż pocałunek. Zacisnęła palce na rozpiętej do

połowy koszuli Michaela. Przejmujące uczucie rozkoszy wydało jej się tym, na co czekała całe życie.

Uderzenie metalowego przedmiotu o drewnianą podłogę zabrzmiało w jej głowie jak dzwonek alarmowy. Zaskoczona, wzdrygnęła się i odsunęła od Michaela.

- Co to było?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział rozdrażnionym głosem.

Odniosła wrażenie, że nie miał na myśli hałasu, lecz to, co się między nimi zdarzyło. Możliwe, że nie miał pojęcia - ale ona miała. Zakochała się, albo była na najlepszej drodze, żeby to zrobić... Ogarnęła ją panika. Dlatego właśnie Keisha powiedziała „niedobrze” - żeby pozbawić ją złudzeń. Chciała jej uświadomić, że taka kobieta jak ona powinna wybić sobie z głowy takiego mężczyznę jak Michael. Cóż z tego, że ją pocałował? W gruncie rzeczy sama rzuciła mu się w ramiona.

Stała jak sparaliżowana, kiedy Michael - całkowicie opampanowany - podniósł z podłogi srebrny klucz i zaczął o nim rozmawiać - jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Brett nie pozostawało nic innego, jak podjąć grę. Przygryzła dolną wargę i starała się skoncentrować na jego słowach, zachowując równie obojętną minę.

- To klucz, który znalazłem w tej szkatułce. Listonosz przyniósł ją tego samego dnia, w którym ty się zjawiłaś. Paczkę przysłała nasza daleka krewna z Węgier. Cyganka.

- Cyganka?

- Oboje moi rodzice są Węgrami, ale w żyłach mojego ojca płynie krew Romów. Mama jest „godzia”, czyli obca - nie Cyganka. Tak czy inaczej, oboje uciekli z komunistycznych Węgier na początku lat sześćdziesiątych, kiedy miałem najwyżej dwa lata. Brat i siostra urodzili się już w Ameryce.

Cyganie... Romowie. Tak, pomyślała Brett, to by nawet wyjaśniało te jego niezwykłe, magnetyzujące oczy...

- W szkatułce był ten kluczyk - ciągnął Michael. - Pomyślałem sobie, że znasz się na zamkach, więc pewnie zgadniesz, co nim można otworzyć. Wiem tylko, że nie pasuje do szkatułki. Masz jakiś pomysł?

- Nie. Nie mam pojęcia. Przykro mi. No to... wrócę chyba do kaloryfera. Potem wyskoczę po nowe krany. Jak dobrze pójdzie, zdążę je jeszcze dzisiaj wymienić. Na razie! - Pożegnała go promiennym uśmiechem i nonszalanckim machnięciem ręki.

Dopiero w swoim mieszkaniu pozwoliła sobie na zrzućcie z twarzy niewygodnej maski. Czuła się zażenowana. Miała trzydzieści lat, czyli o wiele za dużo, żeby zachowywać się jak egzaltowana nastolatka. Tymczasem musiała w jakiś sposób dojść do siebie.

Weszła do kuchni, nalała sobie szklanek mleka i otworzyła paczkę serowych chrupiek. To była jej własna recepta na stres.

- A więc dobrze, plan jest taki... - zaczęła mówić głośno do samej siebie, kiedy, opróżniwszy torebkę do połowy, odzyskała dystans do rzeczywistości. - Jeżeli Michael potrafi udawać, że ten pocałunek nigdy się nie zdarzył, ja też potrafię. Tylko że ja będę to robić na odległość. - Podniosła szklanek z mlekiem, żeby spełnić toast. - Za powodzenie!

Michael zauważył, że Brett przez następne dwa dni prawie się nie pokazywała, uznał jednak, że to z nadmiaru pracy. Nie zapomniał ich pocałunku. Nie był w stanie myśleć o niczym innym, ale ona wyglądała wtedy na tak przerażoną, że każdy nieostrożny krok mógł ją wystraszyć na dobre. Poza tym, z formalnego punktu widzenia, był jej szefem i za nic nie

chciał, by pomyślała, że jej praca może zależeć od ich osobistych układów.

Prześladowała go w myślach i w marzeniach sennych. Ostatniej nocy kochał się z nią we śnie - było cfjraz cudowniej, coraz bardziej namiętne, kiedy obudził go hałas. Dopiero po kilku sekundach rozpoznał w nim płacz dziecka.

Niemożliwe. W tym domu nie było żadnych dzieci. Pomyślał, że mu się zdawało, ale kiedy próbował zasnąć z powrotem, płacz się powtórzył. Mruczając pod nosem, włożył podkoszulek i spodnie od dresów, zdecydowany natychmiast znaleźć źródło dziwnego hałasu.

Zadanie okazało się proste. Coraz wyraźniejsze kwilenie dziecka zaprowadziło go do mieszkania Brett. Czyżby oglądała o tej porze telewizję albo film na wideo? Cokolwiek by to było, przeszkadzała innym spać.

Zapukał do drzwi. Otworzyła mu od razu. Płacz nie dobiegał z telewizji, lecz był płaczem dziecka, które Brett tuliła w ramionach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Co ty robisz z tym dzieckiem? Skąd ono się tu wzięło? Dorabiasz sobie pilnowaniem dzieci? - Michael przekrzykiwał coraz głośniejszy lament niemowlęcia. - Nie możesz go jakoś uspokoić?

- Robię, co mogę.

- Zdaje się, że niewiele możesz.

- Proszę bardzo! Jeżeli uważasz, że potrafisz zrobić to lepiej, sam ją uspokój - powiedziała z desperacją Brett, wręczając mu dziecko.

- Nie znam się na dzie... - Zanim zdążył dokończyć zdanie, dziewczynka przestała płakać i uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Mówiłeś coś?

Michael trzymał niemowlę w wyprostowanych sztywno rękach, ostrożnie, jakby to był ładunek wybuchowy, który w każdej chwili może eksplodować.

- Coś takiego... Przestało płakać. No więc czyje to dziecko?

- Nie wiem.

- Zgodziłaś się przyjąć na noc dziecko i nie znasz jego rodziców?

- Właściwie... nie wzięłam jej na noc.

- Więc co ona tu właściwie robi?

- Ja... musiałam się nią zaopiekować.

- Na jak długo?

- Nie jestem pewna.

- Brett, o co tu chodzi?

- Znalazłam ją rano w twoim domu. Naprawiałam skrzynkę na listy. Zabrakło mi jakiegoś narzędzia, poszłam go poszukać, a kiedy wróciłam, w korytarzu za drzwiami zobaczyłam śpiące w foteliku samochodowym dziecko.

- Może ktoś je zostawił przez pomyłkę?

- Przez pomyłkę? Niemowlaka?! To nie torba z zakupami. Przepytałam wszystkich lokatorów, czy nie odwiedził ich ktoś z małym dzieckiem. A zresztą do kocyka przypięta była kartka: „Błagam, zaopiekuj się moją córką”.

- Więc ktoś ją porzucił? W takim razie natychmiast powinniśmy zawiadomić policję.

- Nie!

- Dlaczego nie? Już to zrobiłaś?

- Nie - odpowiedziała szeptem, delikatnie wyjmując z buzi dziecka rąbek podkoszulka Michaela. - Posłuchaj, ja doskonale wiem, dokąd ją zabrają, jeśli zawiadomimy policję. Mam to za sobą. Wyląduje w miejskim sierocińcu. Jako kolejna pozycja w statystyce państwowego systemu opieki społecznej! A to j est prawdziwe małe dziecko...

- Wielu ludzi chętnie adoptuje takie małe dzieci.

Ja też! Chciała wykrzyzczyć to prosto w twarz, ale rozpaczliwe, zacięte spojrzenie było dla Michaela dostatecznie wymowne.

- No tak... Rozumiem, co się święci. Na widok tego dziecka poczułaś przyspieszone tykanie biologicznego zegara, prawda? - Mimo że Brett nie należała do kobiet przewrażliwionych na swoim punkcie ani łatwo okazujących ból, ledwie

to powiedział, wiedział już, że popełnił straszny błąd. - Hej, o co chodzi? - spytał prawie szeptem. - Proszę, powiedz mi.

- Nie mam biologicznego zegara - zaczęła tak cicho, że Michael musiał schylić głowę, żeby ją słyszeć. - Dwa lata temu musiałam poddać się operacji usunięcia macicy.

- Nie wiedziałem. Przykro mi.

- Jasne, mnie też. Byłam wtedy zaręczona. Mój narzeczony, Bill, zachował się elegancko, naprawdę bez zarzutu - odwiedzał mnie w szpitalu, pocieszał, potem nawet zabrał do siebie, żebym spokojnie wydobrzała. A jednak wiedziałam, czułam przez skórę, że wszystko się zmieniło. Pragnął mieć dzieci. Właśnie po to chciał się ożenić. Wszyscy mężczyźni żenią się po to, żeby mieć dzieci.

Od tamtej chwili minęły ponad dwa lata, a ona wciąż słyszała jego słowa: Brett, zrozum, nie mogę się z tobą ożenić. Potrzebuję prawdziwej żony. Wiesz, co mam na myśli... Chcę mieć dzieci. Jak każdy mężczyzna".

- Buhaj - powiedział z wściekłością Michael, wykrzycawszy przedtem cały repertuar węgierskich przekleństw.

- Postaraj się przy dziecku liczyć się ze słowami. - Brett wzięła je na ręce, lecz natychmiast oddała Michaelowi, gdy mała zaprotestowała płaczem.

- Niesamowite - mruknął. - Dzieciaki mnie nie lubią. Co prawda rzadko mam z nimi do czynienia... Tylko u przyjaciół, bo ani moja siostra, ani brat nie mają jeszcze dzieci. Ale dosyć o mnie. Wróćmy do tego patałacha, Billa.

- On nie był złym człowiekiem - zaprotestowała gorliwie Brett. - Opiekował się mną po operacji...

- Tak, słyszałem. Pocieszał, a potem rzucił.

- Raczej w sposób kulturalny się ze mną rozstał... - uśmiechnęła się gorzko.

- Łamiąc ci serce.
- Wielkie słowa! Masz skłonność do tragizowania.
- Mówiłem ci, że w moich żyłach płynie cygańska krew.

Brett roześmiała się cicho.

- To rozumiem - skinął głową z wyraźną ulgą. - A teraz powiedz, co zamierzasz zrobić z tym dzieckiem.

- Może gdybyś usiadł z nią na kanapie, mała by usnęła.

- Zgoda, zawsze to jakiś pomysł. A masz kanapę? Nie zauważyłem, żeby twoi przyjaciele wnosili jakiś mebel przypominający kanapę...

- Właściwie to zwykłe łóżko do spania, ale służy za kanapę. Jest tam.

Przechodząc obok obdrapanego sosnowego stołu, zauważył na nim paczkę pieluch i rozmaite przybory do pielęgnacji niemowląt.

- Przewijałeś kiedyś dziecko? - Brett pochwyciła jego przerażony wzrok.

- Nie, skąd...

- Ja też nie. Mam nadzieję, że Tyrone udzieli mi kilku wskazówek. Rano powinien wrócić z nocnego dyżuru.

- Dlaczego akurat on miałby ci udzielać wskazówek?

- Jest pielęgniarzem.

- Na oddziale psychiatrycznym. Nie mówił ci?

- Właściwie nie miałam jeszcze okazji z nim rozmawiać. Znam tylko jego żonę. Na oddziale psychiatrycznym... Coś podobnego...

- Mamy spore szanse tam wylądować - mruknął pośpiesznie. - Zdajesz sobie sprawę, że to, co ci chodzi po głowie, jest czystym szaleństwem?

- A co mi chodzi po głowie?

- Żeby zatrzymać to dziecko.

- Matka dziewczynki prosiła, żebym się nią zaopiekowała.

- Na jak długo? Co będzie, jeśli ona wróci? Upomni się o córkę?

- Oczywiście oddam ją... Pod warunkiem, że będzie w stanie ją wychowywać.

- Co za matka mogła porzucić własne dziecko?

- Taka, która doszła do wniosku, że nie będzie mogła zapewnić mu opieki.

- To dlaczego nie zaniósła go do ośrodka adopcyjnego albo sierocińca?

- Może bała się całej tej procedury - pytań, formalności. Może chciała zrobić to szybko?

- Dlaczego wybrała ten dom, a nie inny? Dlaczego to miejsce w tylnym korytarzu, a nie w holu frontowym?

- Ja też się nad tym zastanawiałam.

- No i doszłaś do jakichś wniosków?

- Możliwe, że matka tego dziecka mnie zna. W ośrodku, w którym pracuję, jest mnóstwo trudnej młodzieży. Wszyscy oni wiedzą, że wychowywałam się w sierocińcu. Nigdy tego nie ukrywałam. I wiedzą, że mogą liczyć na moją pomoc, kiedy wpadną w jakieś kłopoty.

- A więc myślisz, że to jedna z dziewczyn, które przewinęły się przez ośrodek, podrzuciła ci swoje dziecko? Przecież one same są jeszcze dziećmi.

- Wystarczająco dorosłymi, żeby zająć w ciążę. Jedna z dziewczyn, które pomagały mi w przeprowadzce, urodziła syna rok temu.

- Zaraz zaraz... Mówisz, że wśród dzieciaków, które ci wtedy pomagały, była jakaś dziewczyna? Zauważyłem tylko chłopaków, i to....

- Fakt, że przy ich wyglądzie czasami trudno ustalić płeć.
- A tego, że to dziecko jest dziewczynką, jesteś pewna?

Sprawdzałaś?

- Na sto procent. Kilka razy, chcąc nie chcąc, musiałam zmienić jej pieluchę. Ale idzie mi coraz lepiej.

- Jeśli już mówimy o pieluchach, to zdaje się, że jest mokra. - Michael odsunął od siebie odruchowo dziecko, żeby oddać je Brett, ale dziewczynka zacisnęła rączki na jego podkoszulku i zanosła się płaczem.

- Chyba będziesz musiał mi pomóc. Mała nie ustąpi, zrobiłeś na niej piorunujące wrażenie. Połóż ją na stole i zajmij czymś, a ja spróbuję ją przewinać.

- Czy na tej kartce było napisane, jak ona ma na imię? Nie możesz bez końca mówić do niej „dziecko”.

- Nie, nie było nawet imienia. Chciałabym nazwać ją Hope.

Dziecko zagruchało radośnie, jak gdyby chciało powiedzieć, że zgadza się z wyborem Brett.

- Hope, czyli nadzieja... Wygląda na to, że panienka jest zachwycona swoim imieniem - powiedział Michael. - Prawda, Hope? - Potrząsnął grzechotką w kształcie misia, którą znalazł na stole. - Popatrz, uśmiechnęła się do mnie. Czy to możliwe? Ile ona może mieć miesięcy? Tej informacji też nie było na kartce?

- Niestety nie. Nie znam się specjalnie na rozwoju niemowląt, ale kupiłam fachową książkę. Sądząc po wadze, może mieć sześć miesięcy.

- Zauważyłaś, jakie ma niesamowite chabrowe oczy?

- Piękne, ale w tej chwili masz lepszy widok - powiedziała z przekąsem Brett, odkładając na bok mokrą pieluchę.

- Święta racja...

Ich oczy się spotkały. Była w nich niecierpliwość i pożądanie, ale i delikatna, najczulsza nić porozumienia, którego nie wyraziłyby w tamtej chwili żadne słowa.

Kiedy uporali się z pieluchą, Brett uznała, że dziecko trzeba nakarmić. Przecierana marchewka z indykiem wydała im się najbardziej apetycznie wyglądającym daniem spośród kilku gotowych papek, które mieli do wyboru. Hope jednak nie podzielała ich zdania. Piszcziała wesoło, wymachując nogami - i zaciskając mocno usta, kiedy w zasięgu jej wzroku pojawiała się pełna łyżeczka.

- Posłuchaj, dziecko - przemówił do niej Michael - ja też nie lubię marchewki, ale zjedz ją, żeby wyrosnąć na taką mądrą i piękną dziewczynę jak Brett. No, buzia szeroko...

Hope przyglądała mu się przez chwilę, a potem posłusznie otworzyła usta.

- No tak - westchnęła Brett. - Tobie daje się nakarmić, mnie nie. Nie sądzisz, że coś jej się we mnie nie podoba? Z jakiegoś powodu mnie nie lubi, tylko z jakiego? Przez całe popołudnie była spokojna, a wieczorem zaczęła płakać. Dopiero przy tobie przestała. Zaczęłam się martwić, że jest chora, ale nie miała gorączki ani nic takiego...

Niespodziewanie Hope pochyliła się do przodu z wyciągniętymi do niej rączkami.

Brett, rozpromieniona, pocałowała dziecko... i w tej samej sekundzie poczuła na twarzy marchwianą papkę.

- Zdaje się, że odpowiedziała ci na pytanie - zakpił Michael. - Lubi cię i to bardzo. Kto by ciebie nie lubił?

- Czyżby? Jakoś ty mnie nie polubiłeś od pierwszego wejrzenia. - Skrzywiła się, wycierając twarz papierowym ręcznikiem.

- Przyznaję, że byłem w nie najlepszym nastroju. Ale to

nie twoja wina. Mój wisielczy humor nie miał nic wspólnego z tobą. Zresztą tego samego dnia podbiłaś serca wszystkich lokatorów - wiesz o tym, prawda?

A czy podbiłam twoje serce? Wiele by dała za odpowiedź na to pytanie, ale nie odważyła się go zadać.

Kiedy przyglądała się Michaelowi karmiacemu Hope, wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Jakże łatwo było wyobrazić sobie w takiej chwili, że są rodziną, że Hope jest ich dzieckiem, a Michael...

Przestań natychmiast, rozkazała sobie w myśli. Nigdy dotąd nie miała skłonności do marzycielstwa. Owszem, w dzieciństwie zdarzało jej się marzyć, że znajdzie się jakaś rodzina, która ją zaadoptuje. Ale dziewięcioletnią naiwną dziewczynką była dawno, dawno temu. Jako osoba dorosła mocno stąpała po ziemi. Kiedyś z Billem planowali, że będą mieli dzieci. Ale owe plany wzięły w łeb. Los zrządził, że bezpowrotnie straciła szansę na urodzenie dziecka.

Próbowała pogodzić się z rzeczywistością. Całą swoją energię poświęciła pomocy innym, postanowiła skończyć psychologię. Ale gdzieś na dnie, głęboko w duszy, pozostała lodowata skorupa, która zaczęła topnieć dopiero tego ranka, kiedy pojawiła się Hope. Brett wzięła ją na ręce i uświadomiła sobie, jak bardzo - nadal - chce mieć dziecko. To niesprawiedliwe, buntowała się w niemej rozpacz... po to jedynie, żeby w tej samej chwili usłyszeć wewnętrzny głos rozsądku: życie z natury rzeczy nie jest sprawiedliwe.

- Dlaczego nagle ucichłaś? - Michael wyrwał ją z zamyślenia. - Dobrze się czujesz?

- Tak. Zastanawiałam się.

- Nad czym?

- Tak w ogóle... Nad różnymi rzeczami.

- Rozumiem! - Uśmiechnął się ironicznie. - Ja też się często zastanawiam... nad różnymi sprawami.
- Naprawdę?
- Tak. Na przykład, jak się robi paski w pasiastej paście do zębów - takiej jak signal?
- A bąbelki w wodzie sodowej? - Brett roześmiała się.
- Jak oni je wpuszczają do butelek?
- A weź taki telefon: dlaczego zawsze dzwoni akurat wtedy, kiedy człowiek jest w łazience?
- Na to mogę ci odpowiedzieć. Prawo Murphy'ego, czyli cokolwiek może pójść źle, idzie źle.
- Nie zawsze.
- Najczęściej - powiedziała z przekonaniem osoby, która miała w życiu więcej pecha niż szczęścia. - Coś takiego, Hope zjadła całą porcję. Dobra dziewczynka! - Pogratulowała jej całusem, po którym dziecko zaczęło gruchać i wymachiwać rączkami.
- No dobrze, i co teraz? - spytał Michael.
- Wiesz, co mi przyszło do głowy? Może ona ząbkuje i dlatego nie może spać?
- Tymczasem znudził jej się fotelik, zobacz, jak się krzywi.
- Dobrze, wyjmij ją, usiądź w fotelu bujanym i posadź ją sobie na kolanach.
- Co dalej?
- Spróbuj zajrzeć jej do buzi i sprawdzić, czy ma jakieś zęby.
- Czy takie dziecko gryzie?
- Nie, jeśli nie ma zębów.
- A jeśli ma?
- Najpierw się przekonamy, czy ma, czy nie...

- My?
- Wiem, że to trudne zadanie, ale ktoś musi je wykonać.
- Raz kozie śmierć...

Hope, jak gdyby rozumiała, o co chodzi, sama otwierała usta na tyle szeroko, że Michael mógł za pomocą latarki obejrzeć jej dziąsła.

- No i co, spuchnięte?
- Chyba nie.
- Widzisz jakieś zęby?
- Tak, jeden na dole, właściwie część zęba.
- No to mamy jasność. Wiadomo już, dlaczego płacze.
- W tej chwili nie płacze.
- Bo ty tu jesteś. Ale przecież nie możesz zostać na całą

noc...

Zamilkli na chwilę, jak gdyby obojgu ten pomysł wydał się równie kuszący.

- Zobaczymy, co o tym sądzi panienska Hope - odpowiedział szeptem.

Mimo że był środek nocy, Hope nie zdradzała żadnych oznak senności, a kiedy Michael ruszył do drzwi, znowu wybuchnęła głośnym płaczem.

- Wygląda na to, że ona naprawdę przywiązała się do ciebie. - Brett pokręciła bezradnie głową.

- Sam nie wiem, co te dziewczyny we mnie widzą - odparł z uśmiechem na twarzy.

- Posłuchaj, może gdybyś położył się z nią na łóżku, to poczułaby się bezpiecznie i w końcu zasnęła.

- Pewnie wcześniej sam zasnę.

- Przykro mi, że tak wyszło...

- Nie mów głupstw. To było... bardzo ciekawe doświadczenie.

- Jeszcze się nie skończyło - przypomniała nieśmiało Brett, zdejmując z łóżka zbędne poduszki.

- A co będzie, jak się przewrócę na bok i ją przygniotę?
- Michael usiadł na brzegu łóżka, z trudem kryjąc zdenerwowanie.

- Oprzyj plecy na tych poduszkach... o tak. I przysuń się do ściany. Wygodnie?

- Tak sobie, mam lepszy pomysł. Zdejmij te wszystkie poduszki i połóż się z drugiej strony. Dziecko będzie między nami i przynajmniej nie spadnie na podłogę.

- Pomysł wydaje mi się... nie najlepszy.

- Dlaczego? Boisz się? Ty? Kobieta, która jednym ruchem nadgarstka potrafi naprawić każdy piecyk, każdy kran w tym domu? Co nam może grozić z małym dzieckiem w charakterze przyzwoitki? To pewniejsza gwarancja bezpieczeństwa niż pas cnoty. Zresztą za bardzo jesteśmy wykończeni... - Widząc, że Brett nadal się waha, wyciągnął do niej rękę. - Chodź, spróbuj. Zobaczysz, jak będzie dobrze.

- Uhm, właśnie tego się boję - mruknęła z rezygnacją, kładąc się przy Hope.

Z głową wspartą na łokciu przyglądała się twarzy dziecka, które z napięciem obserwowało nową sytuację.

- Nie zaśnie, jeśli będziesz na nią patrzyła.

- Mruży oczy, chyba jest trochę śpiąca. Przepraszam - powiedziała, trąciwszy bosą stopą Michaela.

Podniósł głowę, chwycił Brett za kolano i zarzucił jej nogę na swoją.

- O tak, teraz lepiej.

- Znasz jakieś kołysanki? - zapytała szeptem. W miejscu, w którym jej dotykał, miała rozpaloną skórę. Słyszała jego

przyspieszony oddech. Fizyczna bliskość Michaela była prowokująca, tym bardziej więc usiłowała skupić całą uwagę na dziecku. Hope ziewnęła, a po niej, jak na komendę, ona i Michael.

- To chyba prawda, że ziewanie jest zaraźliwe. - Michael uśmiechnął się sennie.

- A co z tą kołysanką?

- Pamiętam kawałek takiej jednej...

- To dobrze. Ja już wyczerpałam swój repertuar. Od „Spój, dziecko” do „Krokodyłowego rocka” - nic na nią nie działało.

- Spróbujmy tej...

Zaczął śpiewać bardzo cicho węgierską kołysankę. Hope była nią zachwycona. Brett również. Nim zapadła w sen, powtarzała sobie gorliwie, że nie powinna nawet marzyć o spełnieniu się gwiazdkowego życzenia - własna rodzina być może na zawsze pozostanie tylko marzeniem...

Michael zbudził się bladym świtem z okropnym bólem kręgosłupa. Kiedy otworzył oczy, przez kilka dobrych sekund zastanawiał się, gdzie jest. Mała Hope spała smacznie. Brett z pogodną, rozluźnioną twarzą wyglądała pięknie, ale on musiał wstać natychmiast, żeby uniknąć skurczu mięśni w łydce.

Kiedy zdołał usiąść na brzegu łóżka, nie budząc nikogo, odetchnął z ulgą.

Czuł się jak przepuszczony przez wyżymaczkę. Dotknął ręką szorstkiej brody i od razu zapomniał o bólu - marzenie o prysznicu i maszynce do golenia poderwało go na równe nogi. Podeszedł na palcach do drzwi, otworzył je najciszej, jak potrafił, a potem jeszcze raz spojrzął na śpiącą kobietę

z dzieckiem. Ledwie znalazł się na korytarzu, usłyszał piskliwy głos pani Martinez.

- O, pan Janos! Coś podobnego! O tej porze wykrada się pan z mieszkania Brett?!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Michael zamknął na chwilę oczy i pokręcił głową, jakby chciał odgonić zły sen.

- Ja się wykradam? Wcale się nie muszę wykradać. Proszę raczej powiedzieć, co pani tu robi?

- Zeszłam do pralni. Ale ja zapytałam, co pan tu robi. Zresztą proszę się nie wysilać, odpowiedź jest zbyteczna. Co jak co, ale wzrok mam doskonały. A więc pan i Brett... spotykacie się? Od początku wiedziałam, że jesteście dla siebie stworzeni. W takich sprawach mam szósty zmysł, młody człowieku, może mi pan wierzyć!

Coraz lepiej, pomyślał. Najpierw magiczne szkatułki, cygańskie zaklęcia, a teraz lokatorka z szóstym zmysłem.

- To nie jest tak, jak pani się wydaje ... - zaczął.

- Mam tylko nadzieję - przerwała mu - że nie zamierza pan pozbawić Brett opinii przyzwoitej kobiety. To dobra dziewczyna. Bardzo się udziela w kościele. Nie powinien pan wykorzystywać wobec niej swojej pozycji szefa... po to tylko, żeby się zabawić.

- Uspokój się, Consuelo, on mnie wcale nie wykorzystał.

- Brett wychyliła się zza pleców Michaela. - Jeżeli już o tym mówimy, to raczej ja go wykorzystałam.

- Coś podobnego... - Starsza pani zrobiła zdumioną minę. - Muszę przyznać, że wy, młode kobiety, pozwalacie sobie

na większą zuchwałość niż my, kiedy byliśmy w waszym wieku.

- Michael pomagał mi przy dziecku, które mam pod opieką - wyjaśniła spokojnie.

- Dziecku...? A gdzie ono jest? - Pani Martinez precyzyjnie się za ich plecami, żeby wetknąć głowę do mieszkania Brett. - Boże, jakie słodkie maleństwo! To dziewczynka, prawda? Jak ma na imię?

- Hope.

- Nie wiedziałam, że masz dziecko.

- Nie mam. Jest pod moją opieką.

- Zostanie z tobą na dłużej?

- Prawdopodobnie.

- A gdzie jest jej łóżeczko?

- No właśnie... Moja przyjaciółka zapomniała je przywieźć, mam tylko fotelik samochodowy.

- Nie martw się. Mam dziesięcioro wnucząt i dostęp do mnóstwa dziecięcych rzeczy, które na pewno ci się przydadzą. Mogę zdobyć dla ciebie i łóżeczko, i kojec, i ubranka... Och, moja córka na pewno zachowała te śliczne sukienki po najmłodszej wnuczce! Jest też chodzik, krzeselko bujane... Idę na górę, żeby zadzwonić do dzieci.

- Dziękuję, Consuelo. Jesteś naprawdę kochana!

- Dlaczego nie powiedziałaś jej, że znalazłaś to dziecko w korytarzu? - spytał Michael, kiedy pani Martinez zniknęła z ich pola widzenia.

- Nie chciałam, żeby zawiadomiła policję albo pogotowie opiekuńcze. Im mniej ludzi będzie znało prawdę, tym lepiej. Już i tak wzbudziłam podejrzenia lokatorów, pytając, czy nie odwiedził ich ktoś z małym dzieckiem. Ale mam nadzieję, że już dawno o tym zapomnieli.

- Wiesz co? Powinniśmy sprawdzić, czy ta mała nie została porwana albo...
- Porwana?! Skąd ci to przyszło do głowy?
- Wszystko jest możliwe. Posłuchaj, mam swoje układy wśród policjantów, jeszcze z czasów akademii...
- Byłeś w akademi policyjnej?
- Ale szybko z niej wyleciałem. Chyba nie jestem stworzony do wykonywania rozkazów.
- Więc mógłbyś zrobić dochodzenie na własną rękę, w taki sposób, żeby nie ściągnąć tu policji?
- Zaufaj mi. Musimy tylko upewnić się, czy jacyś ludzie nie wrywają sobie włosów z głowy, szukając tego dziecka.
- A kartka...?
- Mógł ją napisać porywacz dla zmylenia tropu. Szczerze mówiąc, nie podejrzewam, żeby to był przypadek Hope, ale lepiej bym się czuł, mając stuprocentową pewność. Ty chyba też.
- Tak...
- A więc wiemy, że dziecko ma niebieskie oczy, ciemne włosy i urodziło się sześć, siedem miesięcy temu. Zauważyłaś jakieś znaki szczególne?
- Różowe znamię na lewym pośladku w kształcie... bo ja wiem? Przypomina jakiś kwiat.
- Spójrz, obudziła się. Pomóc ci przy karmieniu?
- Nie, muszę poradzić sobie sama. Spóźnisz się do pracy.
- Mam jeszcze sporo czasu.
- Dobrze... w takim razie chętnie skorzystam z twojej pomocy. Zmienię jej pieluchę, a ty wybierz małej coś na śniadanie.

Tym razem jednak Hope zupełnie nie miała ochoty na

współpracę. Już po drugiej łyżeczce zaczęła pluć jedzeniem, nie reagując na prośby ani tłumaczenia Michaela.

- O rany, dziecko! - jęknął ciężko. - Widziałem w akcji kilku niejadków, ale z ciebie jest numer wyjątkowy!

Dziewczynka pisnęła radośnie.

- To nie był komplement. No, zjedz troszeczkę. Mniam... Zobacz, ja też jem. Teraz ty...

Hope chwyciła łyżeczkę i cisnęła nią przez pół pokoju. Zdecydowany, że nie da się wodzić za nos półrocznemu dziecku, Michael podniósł łyżkę i spróbował jeszcze raz. Hope, z anielskim uśmiechem, bez protestu otworzyła buzię.

- To rozumiem. Grzeczna dziewczynka. A teraz następna porcja pysznego śniadanka...

Tym razem dziecko chwyciło rączką zawartość łyżki i roz-mazało ją na twarzy Michaela.

- Zdaje się, że tego aniołka musi karmić dwoje ludzi - powiedział stanowczo do Brett, która, wróciwszy z łazienki, przyglądała się tej scenie karmienia z miną, jakby nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- O rany, krajobraz po bitwie - westchnął pół godziny później Michael. - Kto by pomyślał, że nakarmienie jednego dziecka może wymagać umiejętności cyrkowych.

- I tak dobrze, że to było jabłko, a nie wczorajsza marchewka. Ściany nadawałyby się do malowania. Muszę wziąć prysznic.

- Ja też.

Ich oczy się spotkały. Perspektywa wspólnej kąpieli z Michaeliem tak bardzo rozpałała jej wyobraźnię, że przez długą chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Ja... To znaczy... Nie wyspałeś się w nocy - wyjąkała z trudem. - Pewien jesteś, że będziesz nadawał się do pracy?

- Tak, nic mi nie jest. Trochę kark mi zeszywniał...
- Głos mu zadrżał, kiedy pomyślał o innej, bardziej dokuczliwej, sztywności. Brett, zaspana, ze zmierzwioną grzywką, której kosmyki opadały jej do oczu, wydała mu się bardziej pociągająca niż zwykle. - Przypilnuję Hope, a ty idź wziąć prysznic.

- Dzięki. Zajmie mi to najwyżej kwadrans.

Kiedy zniknęła w łazience, Michael zaczął przyglądać się dziecku, które gaworzyło wesoło, nie zwracając na niego uwagi, Dziewczynka miała wielkie niebieskie oczy, podobne do oczu Brett. Nic dziwnego, że tak szybko podbiła jego serce chociaż... przyszło mu nagle do głowy, że podobne uczucia wzbudziłoby w niej każde inne dziecko, które znalazłoby się w potrzebie.

Kilka dni wcześniej, z czystej ciekawości, wpadł do Ośrodka Młodzieżowego St. Gerald's i wiele się dowiedział o pracy społecznej Brett - z młodzieżą oraz w schronisku dla bezdomnych, prowadzonym przez tę samą organizację charytatywną. Brett należała do rzadkiego gatunku ludzi, którzy - zapominając o własnych potrzebach - próbują naprawiać świat w taki sposób, żeby stał się on znośniejszym miejscem do życia dla wszystkich możliwych pechowców i nieudaczników. Usłyszał od księdza, że ta kobieta ma siłę daną od Boga, która zjednuje jej zaufanie bliźnich. „W obliczu biedy albo nieszczęścia ona nie analizuje problemów społecznych - mówił ojciec Lyden. - Ona dostrzega konkretnych ludzi, którzy potrzebują jej pomocy. Więc służy im pomocą. Chciałbym bardzo, żebyśmy mieli więcej takich wolontariuszek, ale, cóż... Brett jest jedyna w swoim rodzaju”.

Kiedy wyszła z łazienki, z wilgotnymi włosami i zaróżo-

wioną cerą, bez śladów zmęczenia po źle przespanej nocy, Michael musiał przyznać, że jest jedyna i niepowtarzalna.

- Znowu przyglądasz mi się w dziwny sposób. O co chodzi? - spytała. - Nie umyłam dokładnie twarzy?

- Wszystko w porządku. Po prostu lubię na ciebie patrzeć.

- Naprawdę? - Serce podeszło jej do gardła.

- Uhm. Sądzisz, że mogłabyś się do tego przyzwyczaić?

- Uhm...

- Idę. - Pogładził wierzchem dłoni jej rozpalony policzek. - Sprawdzę, co trzeba, na policji, a potem do ciebie zadzwonię.

- Dobrze.

Brett kończyła naprawę instalacji elektrycznej w pokoju dziennym Stephanopolisów, podczas gdy Hope - w bujanym foteliku, który podarowała jej najstarsza córka Consueli - rozglądała się wkoło z uszczęśliwioną miną.

Pani Stephanopolis, szczerze zachwycona wizytą dziecka, zatrzymała Brett na herbatę.

- Bardzo cię proszę - nalegała. - Popatrz, jak ta mała dobrze się u nas czuje. Nie powiedziałaś mi jeszcze, skąd znasz grecki.

- Uczyłam się go w college'u. Poza tym już wcześniej znałam kilka słów... Jedną z moich ulubionych przybranych mam była Greczynka. Prowadziła dom zastępczy. Piekła najlepsze ciastka na Boże Narodzenie... z rodzynkami i cynamonem. Ale byłam tam tylko rok.

- Nie miałaś żadnych krewnych?

Brett pokręciła głową i pospiesznie dopiła herbatę. Rozmawiała jeszcze chwilę z panią Stephanopolis, po czym wzięła pod pachę Hope i wróciła do siebie.

Telefon zaczął dzwonić, kiedy przekreśliła klucz w zamku. Wsadziła Hope do kojca -jednego z wielu darów Consueli - i chwyciła słuchawkę.

- Halo?

- To ja, Michael. Uszy do góry! Na razie nie mam żadnych złych wieści. Mój znajomy policjant nie znalazł doniesienia o porwaniu dziecka, odpowiadającego rysopisowi.

- Uff... Dzięki Bogu - westchnęła z ulgą.

- Sprawdzi jeszcze raporty z innych stanów, na wszelki wypadek, i jutro da mi odpowiedź.

- Jesteś pewien, że nie robi z tego afery?

- Absolutnie. Muszę już iść, zobaczymy się później.

Michael wrócił do domu wczesnym wieczorem. Mimo iż nadstawiał uszu, wychylał głowę na korytarz, z sutereny nie dobiegał żaden hałas ani płacz dziecka. Przeglądając korespondencję, zauważył pocztówkę, od swojego brata, Dylana. Nadana w Oklahomie, wcale nie świadczyła o tym, że jego braciszek obieżyświat wciąż tam był. Do tej pory nigdzie nie zagrzeź miejsca, choć na ogół pamiętał, żeby od czasu do czasu odezwać się do rodziny - rzadziej, oczywiście, niżby sobie tego życzyli rodzice.

Kiedy zadzwonił telefon, usiadł w fotelu, z nadzieją, że usłyszy w słuchawce głos ojca i dowie się wreszcie czegoś więcej o cygańskiej szkatułce. Odezwała się siostra.

- Słuchaj, Gaylynn, czy ojciec wspominał kiedykolwiek o rodzinnej kłątwie?

- Myślałam, że nie wierzysz w cygańskie przesady.

- Nie wierzę. Pytam z ciekawości.

- Ale skąd ta nagła ciekawość?

- Dostałem paczkę od jakiejś ciotecznej babki z Węgier.

- Spokojnie. Co w niej było?

- Szkatułka.
- Tajemnicza szkatułka! Niesamowite...
- Chwileczkę! Nie powiedziałem: tajemnicza.
- Pytasz mnie o rodzinne klątwy. Jeżeli tę paczkę przysłał ktoś z rodziny taty, to musi być z tym związana jakaś tajemnica.
 - A więc tata wspominał ci o klątwie czy nie?
 - Nie o szkatułce. Mówił, na przykład, że zauważenie w nocy pająka wróży szczęście.
 - Niewiele mi pomogłaś.
 - Wytrzymaj do ich powrotu. To już niedługo. Właściwie dzwonię po to, żeby się upewnić, czy odbierzesz ich z lotniska.
 - A ty byś nie mogła? Mogę być bardzo zajęty...
 - Czym? Prowadzisz nową sprawę?
 - W pewnym sensie...
 - Rozumiem, jakaś nowa blond mimoza.
 - Pudło. Ma ciemne włosy i w przeciwieństwie do mnie potrafi posługiwać się młotkiem i śrubokrętem.
 - W takim razie już mam przeczucie, że się polubimy. Kiedy będę mogła ją poznać?
 - Nie wiem. Może w święta. Posłuchaj, muszę teraz kończyć, ale odezwę się niedługo. Trzymaj się!
- Odłożywszy słuchawkę, Michael doszedł do wniosku, że tak długa cisza na dole jest podejrzana. Dopiero przed drzwiami Brett usłyszał pisk dziecka. Zapukał niecierpliwie.
 - Otwarte, wejdz!
 - Jak to: otwarte? Dlaczego nie zamykasz drzwi na klucz? Na litość boską, przecież to jest Chicago! Czy wiesz, ile morderstw rocznie zdarza się w tym mieście?

- Uspokój się. Otworzyłam dwie minuty temu, gdy usłyszałam na schodach twoje kroki.

- Co robisz?

- Kąpię dziecko, w każdym razie próbuję - westchnęła ciężko. - Szczerze mówiąc, przydałaby mi się twoja pomoc. Przytrzymaj małą, ale uważaj, bo jest cała namydlona i wije się jak piskorz. Boże, skąd takie dziecko ma tyle energii...

Michaelowi nie tylko łatwiej poszło z kąpielą Hope, ale zgodził się ją ubrać, mimo że dziecko kopało i machało rączkami jak wiatrak.

- No, zrobione - powiedział z tryumfem, uporawszy się z ostatnim zatraskiem nocnego kombinezonu. - Idziemy spać, Hope, prawda?

Dziecko ziewnęło, a sekundę później Michael zrobił to samo.

- Jesteś zmęczony - powiedziała Brett. - Wracaj do siebie i odpocznij wreszcie. Sama ją położę do łóżeczka.

Ale Hope była innego zdania. Zanim Michael dotknął klamki, rozległ się jej rozpaczliwy szloch.

- Niestety... Może jednak usiądziesz z nią w fotelu bujanym i poczekasz, aż zaśnie... - zaproponowała nieśmiało Brett.

- Chyba nie ma innego wyjścia.

Kwadrans później spali oboje: on i Hope. Brett patrzyła na tę scenę oczarowana. Rączka dziecka leżała tak ufnie na szerokim torsie obcego mężczyzny. Jego ramię obejmowało małą postać opiekuńczym gestem. Nie mogła jednak pozwolić, by Michael przespał w takiej pozycji całą noc. Prawdopodobnie Hope nie miałaby nic przeciwko temu, ale on obudziłby z potwornym bólem karku.

Najostrożniej jak potrafiła, zabrała mu dziecko i zaniósła

je do łóżeczka. Teraz musiała obudzić Michaela. Kiedy położyła delikatnie dłoń na jego ramieniu, zerwał się na równe nogi. Spięty, w postawie obronnej, wyglądał jak żołnierz gotowy do rozpoczęcia niebezpiecznej akcji.

Wystraszona, odskoczyła w tył.

- Przepraszam - mruknął niewyraźnie, przeczesując palcami włosy.

- Nic się nie stało. Nie chciałam cię przestraszyć.

- Gdzie jest Hope?

- W łóżku. Ty też powinieneś pójść spać. Do własnego łóżka. Potrzebny ci prawdziwy odpoczynek, a nie drzemka w fotelu.

Potrzebna mu była Brett. W jego łóżku. Erotyczna fantazje z jej udziałem towarzyszyły mu przez całą noc.

Następny dzień, wtorek, niewiele się różnił od poprzedniego. Brett naprawiała różne rzeczy w domu, a Hope dotrzymywała jej towarzystwa, kołysząc się radośnie w foteliku.

Michael wpadł do nich po kolacji.

- Mój kumpel z policji sprawdził raporty z wszystkich stanów - zaczął od dobrych wieści. - Nic nie wskazuje na to, żeby Hope została porwana.

- Mówiłam ci.

- No dobrze, więc co dalej? Obmyśliłaś jakiś plan?

- Nie... Nie wiem.

- Brett, musisz mieć jakiś plan. Dziecko nie może żyć anonimowo, trzeba załatwić jej różne rzeczy. Na przykład numer ubezpieczenia - kiedy mała skończy rok, nie obędziesz się bez niego.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Nic podobnego.

- Nie umiem się martwić z takim wyprzedzeniem. Nie sięgam wyobraźnią dalej niż do jutra.

Kiedy Michael zajrzał do niej w piątek po pracy, Brett wyglądała niecodziennie, jakby szykowała się do wyjścia. W swetrze z wizerunkiem Mikołaja na piersi, z pomalowanymi ustami - co zdarzało jej się naprawdę rzadko...

- Wybierasz się na randkę?

- Bardzo dowcipne - uśmiechnęła się krzywo. - Nie. Idę na przyjęcie bożonarodzeniowe do St. Gerald's - tradycyjne ubieranie choinki. Właśnie miałam wychodzić. Upiekłam ciastka na tę okazję.

- Czułem, że coś pachnie.

- Możesz ze mną iść, jeśli chcesz. Jesteś zaproszony, chyba że masz inne plany na wieczór...

- Nie mam. Chętnie pójdę tobą i z Hope na tę imprezę, pod warunkiem, że nie będę musiał się wygłupiać - przebierać za Mikołaja albo...

- Nie będzie żadnych wygłupów.

- W takim razie idziemy.

- Wolisz nieść ciastka czy Hope?

- Lepiej, żebym wziął Hope - jeżeli nie chcesz dotrzeć na miejsce z połową ciastek. Pojedziemy moim samochodem,

W St. Gerald's było już tłoczno i gwarno. Michael z trudem znalazł wolne krzesło dla Brett. Już po kilku sekundach otoczyła ich grupka dzieci i nastolatków, którzy zauważyli Hope.

- Hej, skąd masz to dziecko?

- Opiekuję się córką mojej przyjaciółki.

Padło jeszcze wiele innych pytań. Michael zauważył, z jaką cierpliwością Brett na nie odpowiadała. Potem jego uwagę przykuły dwie smętnie wyglądające, wtłoczone w kąt sali choinki.

Niższa okazała się zarezerwowana dla młodszych dzieci, które mogły ją ubrać, tak jak chciały. Wcześniej same zrobiły ozdoby - z wszelkich możliwych materiałów, jakie wpadły im w ręce, od folii aluminiowej po plastikowe lub kartonowe opakowania do jajek. Nie obyło się bez drobnych kłótni, kiedy wszyscy naraz zaczęli wieszać je na choince.

- Czy mogę cię na chwilę zostawić z Hope? - spytała Brett Michaela. - Muszę ich pogodzić i sprawdzić, czy dobrze nałożyli lampki.

- Jasne, nie ma sprawy.

Bawiąc się z Hope w „patataj”, Michael przyglądał się ukradkiem Brett. Przez dwie ostatnie noce marzył o niej w snach, kochał się z nią, całował każdy centymetr jej nagiego ciała, uczył się na pamięć każdego szczegółu, każdej plamki na skórze...

Z rozmarzenia wyrwał go Juan, który swoją uśmiechniętą twarzą zasłonił mu widok Brett.

- Już nie wyglądasz na samotnego - zauważył nastolatek.

- Brett rzuciła na ciebie magiczny urok, to jasne jak słońce.

- Pewnie wiesz, o czym mówisz.

Słowo „magiczny” przywiodło mu na myśl cygańską szkatułkę. Jego rodzice mieli wrócić do domu tuż przed Bożym Narodzeniem. Do tego czasu musiał uzbroić się w cierpliwość, bowiem tylko ojciec mógł wiedzieć, o jakiej kłatwie, czy też zaklęciu, pisała babka Magda. Pewien był, że oboje oszaleją na punkcie dziecka.

Kiedy spojrział na rozpromienioną twarz Hope, która gaworzyła, nie spuszczać z niego oczu, zdał sobie nagle sprawę, że zaczyna tracić rozsądek jak Brett - myśląc o małej jak o własnym dziecku. Tylko resztki owego rozsądku podpowiadały mu, że to czyste szaleństwo...

- Brett sprawia wrażenie bardzo przywiązanej do dziecka swojej przyjaciółki... - Ojciec Lynden wyrósł przy nim jak spod ziemi.

- Czy jest w tym coś złego? - Michael wyczuł zamierzony podtekst w komentarzu księdza.

- Tak, jeśli ta mała została u niej tylko na jakiś czas... Przyjaciółka wróci, a rozstanie z dzieckiem może być dla Brett ciężkim przeżyciem.

- Nie wiadomo, czy jej przyjaciółka kiedykolwiek wróci. To skomplikowana sytuacja...

- Ja tylko nie chciałem, żeby Brett cierpiała. Ona robi tyle dobrego dla innych. Zasługuje na odrobinę szczęścia. Czy wiesz, że sama zorganizowała tegoroczne prezenty dla dzieci? O, właśnie wraca. Zorientuję się, czy wszystko gotowe, i zaczniemy je rozdawać.

- Napijesz się kawy? - spytała Brett, kiedy późnym wieczorem wrócili do domu. - Masz teraz ochotę na ciastka, które ci obiecałam? Dzieciakom smakowały...

- Wiesz, na co teraz mam ochotę? - szepnęła.

Położył ręce na jej ramionach i delikatnym, ale stanowczym gestem przygarnął ją do siebie. Poczowała na wargach delikatne muśnięcie języka. Wilgotne. Ciepłe. Zapraszające do miłości.

Pierwszy pocałunek był leniwy i prowokujący, następny, sprawił, że ugięły się pod nią nogi. Dłonie Michaela wśliznęły się pod jej bluzkę, zsunęły ramiączka stanika, potem poczuła je na piersiach. Łzy euforii oraz niewysłowionej ulgi ścisnęły jej gardło. Od dnia, w którym go poznała, od pierwszego dotyku jego dłoni, wiedziała, że czekała na tę chwilę przez całe życie.

Oboje byli u kresu wytrzymałości, tracili oddech, mieli błaganie w oczach... Kiedy usłyszeli płacz dziecka, jęknęli cicho.

Brett czuła, jak Michael drży, kiedy ukrył twarz w jej włosach, żeby odzyskać równowagę.

Chwilę później była wolna.

Niczym lunaticzka wyrwana ze snu, podeszła niepewnym krokiem do łóżeczka Hope.

- Już dobrze, maleńka - powiedziała łagodnym szeptem, kojąc nim zarówno siebie, jak i dziecko. - Wszystko będzie dobrze.

Kiedy Michael usłyszał sygnał pagera, sprawdził wiadomość, a potem spytał ochrypłym głosem:

- Mogę skorzystać z twojego telefonu?

- Jasne.

- Janos z tej strony - powiedział krótko. - Coś nowego?

- Złe wieści - burknął jego znajomy z komisariatu.

- Dziecko? Jednak zostało porwane?

- Nie, ale wkrótce może być... Ktoś chce je zabrać twojej przyjaciółce.

- O czym ty mówisz?

- Pojęcia nie mam, skąd się dowiedziała. Przysięgam, Michael, że nie puściłem pary z gęby. Musiała podsłuchać naszą rozmowę.

- Kto?

- Opiekunka społeczna.

Michael zaklął.

- Przepraszam, stary. Chciałem cię uprzedzić, zanim ta cholerna baba was wywęszy. Chyba że nie ma jeszcze twojego adresu, ale słyszała, jak zwracałem się do ciebie po imieniu. Może sobie odpuści. Ma tyle roboty, że starczyłoby dla dzie-

sięciu takich, ale przyczepiła się do mnie jak rzep do psiego ogona. Dzień w dzień wierci mi dziurę w brzuchu, żebym powiedział jej coś więcej o „tajemniczym dziecku” .

- Zbywaj ją byle czym. Dziecko ma się dobrze. Chcemy je zaadoptować.

- Czy przypadkiem nie musicie być do tego małżeństwem?

- Będziemy. Dzięki za ostrzeżenie.

Michael odłożył słuchawkę i odwrócił się do Brett, która stała za jego plecami.

- To był twój znajomy policjant, tak? Co powiedział?

- Za dużo.

- Coś się stało...?

- Nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić jako małżeństwo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Małżeństwo? - wydusiła z siebie to pytanie po kilku sekundach.

- Właśnie. Uważam... jestem przekonany, że byłby to rozsądny krok.

- Przyznasz, że nie jest to sposób, w jaki ludzie zazwyczaj opisują małżeństwo.

- Dlatego że większość ludzi popełnia błąd, koncentrując się na uczuciach, zamiast częściej używać głowy.

- Tak czy inaczej nie rozumiem - odparła posepnie - dlaczego twoja głowa podpowiada ci, że małżeństwo ze mną byłoby rozsądnym krokiem. Nawet mnie nie znasz.

- Znam cię lepiej, niż sądzisz.

Czy mogła zarzucić mu przesadę, jeśli czuła tak samo? Wciąż miała wrażenie, że poznała go dużo wcześniej, w innych czasach albo w innym życiu.

- Co takiego powiedział ci znajomy policjant, że ni stąd, ni zowąd wpadłeś na pomysł z małżeństwem? Stało się coś?

- Tłumaczyłem ci przecież, że jeżeli chcesz walczyć o zatrzymanie u siebie Hope, musisz mieć jakiś plan.

- „Jakiś plan” to niekoniecznie małżeństwo.

- Byłby to rozsądny krok. Opiekunowie społeczni, kuratorzy z ośrodków adopcyjnych chętniej oddają dzieci parom małżeńskim niż ludziom samotnym.

- Ale kuratorzy nie wiedzą o istnieniu Hope.
- Otóż problem w tym, że mogą się o niej dowiedzieć.
- Co takiego?! Niby w jaki sposób?

Michael powtórzył jej treść rozmowy telefonicznej.

- I tak jej nie oddam! - krzyknęła. - Nikomu!
- Jeśli wyjdiesz za mnie, nikt ci nie będzie w stanie jej zabrać.

- Skąd możesz być tego pewien?

- Wiem jedno: małżeństwo daje ci największą szansę na zatrzymanie Hope.

Może i bała się takiego rozwiązania - sama myśl o nim zakrawała na szaleństwo, ale jakiś wewnętrzny głos mówił jej: „To twoja szansa na szczęście. Chwytaj ją”.

- Zgadzam się.
- To dobrze.

Zauważyła, że ucieszył się z jej odpowiedzi, ale nie wyglądał na bardzo zaskoczony. Czyżby usłyszał ten sam głos wewnętrzny, który przekonał ją, że to szansa na szczęście...? Natychmiast uznała pomysł za niedorzeczny. Michael namówił ją do małżeństwa z rozsądku - i trudno było odmówić słuszności jego argumentom. Zaledwie dwa lata temu, pomyślała gorzko, Bill z równie praktycznych powodów zerwał z nią zaręczyny.

- Co się stanie po naszym ślubie? - zapytała.
- Jak to... co się stanie? Co masz na myśli?
- Czy dalej będę mieszkać tutaj, na dole, czy...
- Koniec z suteroną. Przeniesiesz się z Hope do mojego mieszkania. Mam dwie sypialnie. Na wypadek, gdyby opieka społeczna zaczęła węszyć, nasze życie musi wyglądać jak w normalnym małżeństwie.

- Czyli ja z Hope będziemy spać w jednej sypialni, a ty

w drugiej? - Chciała, żeby wszystko w ich umowie było jasne.

- To pierwszy wariant. Na pewno wiesz... Mam nadzieję, że wcześniej czy później my dwoje - ja i ty - będziemy dzielić wspólną sypialnię, a Hope będzie spała w drugiej. Chyba nie czujemy do siebie niechęci, prawda? Raczej przeciwnie. Kiedy się całowaliśmy, to było...

- Jakie?

- Niesamowite.

Skinęła głową, niezdolna wydusić z siebie ani jednego słowa.

- Czyli doszliśmy do porozumienia? Pobierzemy się, bo to najrozsądniejsza rzecz, jaką możemy w tej chwili zrobić. Będziemy mieli jeden krok za sobą. Potem - bardzo ostrożnie - przymierzemy się do adopcji.

- To nie będzie łatwe. Pamiętaj, że ja wiem, jak działa ten system. Doświadczylam go na własnej skórze. Gdy moja matka mnie porzuciła, nie chciała zrzec się dobrowolnie praw rodzicielskich. Praktycznie więc nikt nie mógł mnie adoptować. A kiedy wreszcie stało się to możliwe z prawnego punktu widzenia, byłam za duża, żeby ktokolwiek mnie zechciał. Ale dopiero mając dziewięć lat, zrozumiałam dokładnie swoją sytuację. Rodzina zastępcza uświadomiła mi, że prawdopodobnie nigdy nie zostanę przez nich adoptowana, a to z prostych powodów... ekonomicznych. Masz pojęcie? Dopóki byli rodziną zastępczą, dostawali pieniądze - tak jak za pracę w domu dziecka. Gdyby mnie zaadoptowali, straciliby stały dochód i sami musieliby mnie utrzymywać. Rozumiesz więc, że w takim systemie dziewięcioletnie dziecko skłonne jest uwierzyć, że wszystkie złe moce sprzysięgły się akurat przeciwko niemu.

- Czy straciłaś wtedy nadzieję?

- No właśnie! Byłoby to logiczne i rozsądne - odpowiedziała ponuro - ale jakoś tak zostałam skonstruowana, że rozsądek bierze w łeb, kiedy w grę wchodzi silne uczucie. Należę do ludzi, którzy częściej myślą sercem niż głową.

- A ze mną jest odwrotnie. Może to i dobrze, że będziemy się uzupełniać? Dla równowagi potrzebujesz faceta z głową na karku. A ja potrzebuję...

- Dokończ...

- Nowej koszuli. Zobacz, jak mnie Hope wypaćkała.

- Przykro mi... - Uśmiechnęła się, żeby ukryć rozczarowanie.

- Nie martw się. Mam sporo koszul. Poza tym trzeba się zacząć przyzwyczajać do różnych strat, tak czy nie?

- Michael, czy ty jesteś pewny... w co się pakujesz? Nie przespane noce, ząbkowanie...

- Tego już doświadczyłem.

- Dopiero kilku takich nocy. Będzie ich dużo więcej. A potem wypadanie mleczaków, stałe zęby, przedszkole, dorastanie, randki, szkoła średnia...

- Czy aby nie wybiegasz za daleko w naszą świetlaną przyszłość, co?

- Chciałam ci tylko uświadomić, że to nie zabawa.

- Wiem. Wiem, że nie zawsze będzie łatwo, jeśli o to ci chodzi. Ale wiem też, że warto się wysilić.

- Widzisz... często bywa tak, że ludzie podejmują decyzje zbyt szybko, bez zastanowienia - powiedzmy nawet, że w dobrej wierze - ale równie szybko dochodzą do wniosku, że przeliczyli się z siłami.

- Nie bój się - powiedział prawie szeptem. - Nam to nie grozi. Rozsądek mi to podpowiada.

Spojrzała mu w oczy i nie dostrzegła w nich cienia lęku albo wahania.

- Mnie w końcu oddali z powrotem do domu dziecka...
- szepnęła.

- Ich strata. - Pogłaskał jej policzek. - Brett, ja ciebie nie oddam jak za dużego swetra. Nie jestem szczeniakiem, znam życie i wiem, czego chcę. Nigdy dotąd nie byłem żonaty, bo to nigdy nie było to... Teraz jest. Być może okoliczności zmusiły nas do pośpiechu, który nie leży ani w mojej, ani w twojej naturze, ale ja... widzę siebie w tym małżeństwie, potrafię je sobie wyobrazić - czego nie mogłem powiedzieć o związku z żadną z kobiet, które znałem przed tobą.

- To mi wystarczy - wydusiła z siebie, połykając łzy. Żeby rozładować trochę napięcie, pogroziła Michaelowi palcem.
- Ale nie mów, że cię nie ostrzegałam.

- Nie powiem. Pierwszy krok mamy za sobą, teraz musimy zdobyć metryki, załatwić formalności - no i załatwić ślub w ratuszu. A może wolisz kościelny w St. GerakTs?

- Nie, niech będzie w ratuszu.

- Brett... obiecuję ci, że nie będziesz tego żałowała.

Byłaby najszczęśliwszą kobietą na świecie, gdyby mogła mu obiecać to samo - że nigdy nie pożałuje swojej decyzji.

W sobotę rano Michael otworzył drzwi na korytarz i omal się nie potknął o swoje buty.

- Co one do diabła... niech to szlag! - Na widok pani Martinez, która wychyliła głowę ze swojego mieszkania, powstrzymał się od mniej cenzuralnych okrzyków. - Co robią na korytarzu moje buty?

- Nie wiem, panie Janos - odparła Consuela. - Musiał

mieć pan wyjątkowo udany wieczór, skoro zostawił pan buty przed drzwiami i nawet o tym nie pamięta.

- Zgadza się, wieczór był rzeczywiście wyjątkowy. Brett i ja zaręczyliśmy się. - Chwycił buty i wycofał się do mieszkania, nie czekając, aż pani Martinez ochłonie z pierwszego wrażenia i spyta, kiedy ślub.

Dopiero teraz przyjrzał się im dokładniej i zauważył, że w środku są prezenty - mandarynki, orzeszki oraz opakowane w jaskrawe sreberka czekoladki „całuski”. Znalazł też kartkę z życzeniami: „Lepiej późno niż wcale. Szczęśliwych mikołajek!”

Brett! Nikt inny nie mógł tego zrobić. Boso, z butami w ręku, zbiegł do sutereny.

- Powiedz, w jaki sposób udało ci się dostać do moich butów? - zapytał w tej samej sekundzie, w której Brett otworzyła drzwi.

- Dzień dobry.

Objął ją i całował dotąd, aż zabrakło jej oddechu.

- Za co...? - spytała z niewinną miną.

- Wiesz, za co. A teraz przyznaj się, jakim cudem moje buty znalazły się na korytarzu? Przez całą noc stały przy moim łóżku, a drzwi były zamknięte od wewnątrz.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Pomachał jej butami przed twarzą.

- Opowiadałem ci wczoraj o mikołajkach w moim rodzinnym domu, a dzisiaj znajduję w butach prezenty.

- To może rzeczywiście jakiś cud. - Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Tak, kolejny... Od pewnego czasu zdarza się tu cud za cudem.

- Jest tutaj! - wykrzyknęła pani Martinez zza pleców Mi-

chaela. - Błagam, proszę powtórzyć Friedzie, to co mi pan powiedział na górze. Ona, jak zwykle, mi nie wierzy. Mówi, że słuch mi się pogarsza i na pewno źle zrozumiałam.

- O czym mówi Consuela? - zapytała Brett. - Co ty jej powiedziałaś?

- Że jesteśmy zaręczeni.

- A nie mówiłam? - zachrypiała Consuela.

- Mogą nam panie złożyć gratulacje. - Michael wyprostował się dumnie. - Ja i Brett pobierzemy się wkrótce.

- Co pan robi z tymi butami? - zapytała Frieda.

- W nocy odwiedził mnie Święty Mikołaj.

- Spóźnił się trochę - zauważyła z przekąsem Frieda. - Dzień Świętego Mikołaja był trzy dni temu.

- Lepiej późno niż wcale - mruknęła cicho Brett.

- Pospiesz się, Brett, chcesz chyba zdążyć na własny ślub! - krzyczała Keisha przez zamknięte drzwi łazienki dwanaście dni później.

- Zdam, nie bój się.

- Włożyłaś cudowny biustonosz, który ci podarowałam? Wiesz, że panna młoda musi mieć na sobie coś starego, coś nowego, coś pożyczonego i coś niebieskiego. Ten stanik byłby czymś nowym.

Brett spojrzała w lustro. Coś starego? Kremowy kostium z lat trzydziestych, który kupiła kiedyś za dwadzieścia dolarów w sklepie ze starociami, był chyba wystarczająco stary. Uwielbiała go, podobnie jak zabawne wiktoriańskie „pantofle babuni”.

- Śpisz w tej łazience czy co? - Keisha wołała coraz bardziej zdenerwowanym głosem.

- Spokojnie, już wychodzę. - Brett nałożyła na usta ostat-

nią warstwę pomadki, otworzyła drzwi i oparła się plecami o futrynę. - No i jak?

- Dziewczyno, wyglądasz bosko! Ten biust... A nie mówiłam? Michaelowi wyjdą oczy z orbit!

- Mam nadzieję, że nie dosłownie... Jesteś pewna, że twój cudowny stanik nie jest zbyt cudowny...? Nie wyglądam w nim jak ze sztucznym biustem?

- Skąd! Tylko nie kul ramion, wyprostuj się, zobaczysz, szczęki im opadną z zachwytu.

- Dzięki za pomoc.

- Uwielbiam śluby! Miałabym ci za złe, gdybyś nie skorzystała z mojej pomocy. Swoją drogą, ten wieczór panieński urządzony przez Friedę i Consuelę był naprawdę zabawny! Kto by się spodziewał! Dobrze, jesteś gotowa? Zaraz, a coś pożyczonego? Miałaś schować gdzieś chusteczkę Consueli.

- Schowałam pod biustonoszem. - Roześmiała się i uściśkała Keiszę. - Jeszcze raz ci dziękuję.

Brett miała niewiele oszczędności, które mogła przeznaczyć na stroje i inne wydatki związane ze ślubem, ale dzięki pomocy nowych przyjaciół wszystko udało się załatwić. Michael przekonał ją, że sam sfinansuje formalności i kupi parę zwykłych złotych obrączek.

- Czy naprawdę zdajesz sobie sprawę - spytała go ostatniego wieczoru - ile kosztują pieluchy?

- Wierzę ci na słowo, że nie mało. Odpowiedź na następne pytanie brzmi: Tak, jestem pewny. I przestań się w końcu martwić.

Przestała - ale tylko do chwili, kiedy rano wsiedli do samochodu.

- Chyba nie opadły cię złe myśli, hm? - spytał Michael, czując, jak bardzo Brett jest spięta.

- Przyznaję, że jestem zdenerwowana, ale żeby złe myśli... Nie. Co prawda, ludzie przy zdrowych zmysłach, w takiej sytuacji jak nasza, powinni je mieć - albo przynajmniej bać się - ale ja nie... Nie wiem, dlaczego. I nie mam pojęcia, o czym to świadczy.

- O tym, że masz głowę na karku.

- W twoich ustach to wielki komplement. - Roześmiała się. - I to właśnie taki, który słyszę najrzadziej.

W ratuszu musieli uzbroić się w cierpliwość, okazało się bowiem, że w kolejce do sali ślubów czekają już trzy inne pary. Consuela, Frieda i Keisha opiekowały się na zmianę Hope, która z tej sytuacji była bardzo zadowolona.

Brett dla zabicia czasu zaczęła przyglądać się ludziom.

Najstarszy pan młody - we fraku w czerwono-zielone wzorki - sprawiał wrażenie stałego bywalca urzędu stanu cywilnego. Jego przyszła żona wyglądała jak tancerka z Las Vegas, której szczyt kariery przypadł na lata pięćdziesiąte. Cała była w zieleni. W bardzo jaskrawej zieleni. Szeroki dekolt obnażał jej kościste ramiona.

- Dzień dobry, Ray! - Jedna z urzędniczek przywitała mężczyznę jak starego znajomego. - Czy mi się zdaje, czy to twoje ósme małżeństwo?

- Siódme - odparł z godnością Ray.

- Cyganie wierzą, że siódemka jest szczęśliwą liczbą - szepnął Michael do ucha Brett.

Zakrztusiła się, tłumiąc śmiech.

- Teraz lepiej - powiedział z uznaniem w głosie. - Zaczynałaś być prawie tak zielona jak papka szpinakowa, którą karmisz biedną Hope, albo jak okropna suknia tej kobiety.

- Ile słodczy w jednym zdaniu... - odpowiedziała mu

namiętnym szeptem. - Mów do mnie jeszcze, złotousty diable.

- Wyglądasz pięknie.
- Tak, oczywiście. Pięknie i zielono.
- Hej, jakbym słyszał Kermita Żabę!
- Znowu się naczytałeś książeczek Hope.
- Uwielbia, gdy jej je czytam.

Brett wiedziała, dlaczego. Dziecko uwielbiało głos Michała. Tak jak ona. Mogłaby go słuchać bez końca - dialogów Kermita z panną Piggy z równą przyjemnością jak Szekspira. Była pewna, że gdyby czytał książkę telefoniczną albo formularz podatkowy, jego głos nie straciłby swojej czarodziejskiej mocy.

Zacisnęła nerwowo dłoń.

- Tak, wiem, ile kosztują pieluchy - zapewnił ją z uśmiechem. - Poproszę o następne pytanie.

- Sądzisz, że Hope prześpi tę ceremonię? - Brett zauważyła, jak mała przytula główkę do ramienia Consueli.

- Wiedząc, jak to dziecko uwielbia rozgardiasz i hałas, pewnie tak. Jeśli sędzia będzie mówił dostatecznie głośno.

Sędzia mówił na tyle głośno, że Hope nie obudziła się. Ceremonia była zresztą tak krótka, że zanim Brett uświadomiła sobie, co się stało, było po wszystkim.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zostawić nam małej na noc? - spytała z nadzieją w głosie Consuela, kiedy wrócili do domu.

- Nie, ale dziękuję za dobre chęci.

- Cóż, w takim razie pobędziemy z nią jeszcze ze dwie godziny, a wy spokojnie zjedzcie kolację, którą przygotowała dla was pani Stephanopolis. Naprawdę nie musicie się spieszyć.

Po tych słowach wszyscy jak na komendę rozeszli się do własnych mieszkań, zostawiając Brett i Michaela samych - w udekorowanym różową krepiną przedpokoju Michaela.

- Witaj w domu, pani Janos.

Co ty robisz? - krzyknęła, kiedy Michael bez uprzedzenia chwycił ją na ręce i zaniósł do salonu.

- Ależ z ciebie chucherko!

- Uważaj - zmarszczyła groźnie czoło - kogo nazywasz chucherkiem.

- Uważam - powiedział z przewrotnym uśmiechem, zapuszczając żurawia w jej dekolt. - I rozkoszuję się widokiem.

Poczuła, jak pałowieją jej policzki.

- I jak to się pani podoba, pani Janos? - spytał szeptem, wypuszczając ją powoli z objęć.

- Cudownie... - odparła sennym głosem. Nie potrafiła jednak wyrazić tego, co naprawdę czuła. Radość, euforia, podniecenie - wszystkie te słowa opisywały magię miłości, nie dotykając istoty tajemnicy.

Zauroczony blaskiem bijącym z jej twarzy, Michael nie dosłyszał, co powiedziała.

- Słucham?

- Stół wygląda cudownie. Stephanopolisowie przeszli samych siebie, nie sądzisz?

Skinał tylko głową i odsunął jej krzesło.

Szampan chłodził się w kubełku z lodem, świece były już zapalone. Na środku stołu ktoś postawił cygańską szkatułę.

- Znalazłem w dzisiejszej poczcie kopię intercyzy przedmałżeńskiej - Michael powiedział rzeczowym tonem, który na tle romantycznej scenerii zabrzmiał jak fałszywy akord.

- Ja swoją też dostałam. Wydaje mi się, że to rozsądne wyjście.

Na spisanie intercyzy - chroniącej majątek Michaela - należała Brett. Nie chciała, żeby kiedykolwiek mógł ją podejrzewać o nieczystą grę.

- Twoja wola. A co ze studiami? Masz zamiar je kontynuować czy się poddasz?

- Czy ja wiem... Błyskotliwa kariera zawodowa nigdy mi nie groziła - powiedziała oschle. - Uczyłam się, kiedy pozwalał mi na to czas i pieniądze. I pewnie dalej tak będzie. Mnóstwo czasu muszę zarezerwować dla Hope. Zapisałam się na następny semestr, ale tylko na jeden przedmiot.

Na końcu języka miał „wiem”, na szczęście przypomniał sobie w ostatniej chwili, skąd wie... Na wszelki wypadek postanowił zmienić temat.

- Może zaczniemy jeść, co?

Pamiętała później, że zaczęli od delikatnej greckiej sałatki, w której były czarne oliwki... i niewiele więcej. Wszystko wydawało jej się pyszne, ale Brett była zbyt rozkojarzona, żeby skupić uwagę na jedzeniu. Niezupełnie tak... Opętała ją myśl o zaspokojeniu innego rodzaju apetytu.

Do końca kolacji starała się nie podnosić wzroku powyżej linii ust Michaela. Wiedziała, że jeżeli podda się czarowi jego niezwykłych oczu, będzie stracona. Zaczęły drżeć jej kolana. Ściskając coraz mocniej widelec deserowy, wbiła go rozpaczliwym, niezbyt wytwornym gestem w kawałek weselnego tortu.

Kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi, Brett podskoczyła na krześle.

- Uspokój się. - Michael pogładził ją po ramieniu i ruszył do drzwi.

- Och, widzę, że jeszcze ucztujecie - powiedziała Frieda.

- Mówiłam wam, że możemy zatrzymać dziecko na dłużej. - Consuela uśmiechnęła się zachęcająco.

- Nie, nie, dziękujemy wam bardzo. - Brett podeszła do drzwi. - Właśnie kończyliśmy.

- Chodź do mnie, Hope. - Michael zabrał delikatnie dziecko Consueli. - Zaplamiłabyś Brett jej piękny kostium.

- Pójdę się przebrać. - Brett położyła rękę na klamce, gdy nagle uświadomiła sobie, że nie mieszka już w suterenie, tylko z Michaeliem, a większość jej ubrań leży w kącie sypialni, którą będzie dzieliła z Hope.

Zauważyła wniebowziętą minę Michaela, kiedy dziecko przytuliło główkę do jego ramienia. Uwielbiał je. Mogła być spokojna, że wychodząc za niego, nie popełniła błędu. Jeśli miała sobie coś za złe, to tylko zachłanność, z jaką pragnęła więcej, niż mógł jej dać... pragnęła jego miłości.

Hope zasypiała w swoim łóżeczku, a Michael, patrząc na nią, objął ramieniem Brett. Wyczuł, jak bardzo jest spięta, ale jakże opacznie zrozumiał powód takiego nastroju.

- Możesz się rozluźnić - zapewnił. - Nie mam zamiaru namawiać cię do zarwania kolejnej nocy. Przed nami mnóstwo czasu, prawda?

- Gdzie mam postawić to pudło? - spytał następnego dnia.

- Gdzieś w salonie, potem się zastanowię, co z nim zrobić - odpowiedziała z kuchni, od której zaczęła urządzenie ich wspólnego mieszkania, przede wszystkim z myślą o bezpieczeństwie Hope.

- W salonie? - mruknął. - Nie da się tu wejść, wszędzie stoją pudła...

- Nie słyszę. Co mówisz?

- Nic, jakoś się zmieściło.

Zamierzał zrobić sobie przerwę i usiąść na chwilę w fotelu, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

- Idę otworzyć! - krzyknął.

Za progiem stali jego rodzice i siostra.

- Przepraszam, że zjawiamy się bez uprzedzenia - powiedziała Gaylynn - ale mama z tatą nalegali, żeby wpaść do ciebie po drodze z lotniska.

- Nie mogłam się doczekać! - powiedziała mama, wspinając się na palce, żeby uściskać Michaela. - Tak długo nas nie było!

- Co tu się dzieje? - spytał ojciec na widok bałaganu panującego w salonie. - Znowu się przeprowadzasz?

- Nie, tato. Nie przeprowadzam się. Właśnie się ożeniłem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pierwsza odzyskała głos siostra Michaela.

- Wygłupiasz się, prawda?

- Nie, wcale się nie wygłupiam. - Michael zauważył, że Brett stoi w progu kuchni. Podszedł do niej i podprowadził za rękę do rodziców. - To jest właśnie Brett, moja żona.

- Naprawdę wzięliście ślub? - zapytała Gaylynn z teatralną emfazą.

- Chyba mówię wyraźnie - powiedział zirytowany. - Jak mam ci wbić do głowy taką prostą informację?

- Ciężka sprawa... -jęknęła Brett. - Spróbuj młotkiem.

- Co proszę? - Matka Michaela utkwiała w niej przerażony wzrok.

- Spokojnie, mamó. Brett jest mistrzynią młotka, a także wielu innych, bardziej skomplikowanych narzędzi. To prawdziwa „złota rączka”. Zatrudniłem ją jako konserwatora tego domu. Tak się poznaliśmy.

- A kiedy, jeśli można wiedzieć?

- Prawie miesiąc temu.

- I tak nagle zdecydowaliście się na małżeństwo?

- To przez tę szkatułkę - wtrącił się ojciec.

- Tato - westchnął Michael - tylko nie zaczynaj ze swoimi omenami.

- Omen to jest jak ci dzwoni w prawym uchu. Szkatułka to *bahtali*.

- O czym wy mówicie? - spytała matka.

- Jego cioteczna babka, Magda, przysłała mu z Węgier szkatułkę.

- Twój syn się ożenił, a ty nie masz lepszego tematu do rozmowy niż jakieś tam szkatułki?

- To cygańska szkatułka.

- A ona jest amerykańską żoną! - Pani Janos odwróciła się do synowej z dystygowanym uśmiechem. - Masz na imię Brett, prawda? A więc, Brett... Ja pierwsza przyjmuję cię z całym sercem do naszej szalonej rodziny.

- Dziękuję, pani Janos - powiedziała załamującym się głosem Brett.

- Nie pani Janos, tylko Maria. Mój mąż ma na imię Konrad, a córka Gaylynn.

- Czy mi się zdaje, czy to jakieś dziecko płacze? - spytali Gaylynn.

- Hope - wyjaśniła Brett. - Płacze, bo się obudziła, a nie ma przy niej Michaela.

- To twoje dziecko? - spytała Maria.

- To nasze dziecko - powiedział z naciskiem Michael. Jego matka wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć.

- Zamierzamy ją adoptować - pospieszyła z wyjaśnieniem Brett. - Hope nie jest naszym naturalnym dzieckiem.

- Chyba powinnam usiąść... - Maria wolnym krokiem ruszyła w stronę pokoju dziennego.

- Przykro mi, że jest tu taki bałagan... - Brett zdjęła z najbliższego krzesła dziecięcy kocyk. - Dopiero wczoraj wprowadziłam się ze swoimi rzeczami i nie zdążyłam nawet rozpakować pudeł. Może usiądziemy w kuchni, tam jest trochę więcej miejsca... Pójdę po Hope.

- Miklos, bądź łaskaw wytłumaczyć nam wszystko od początku. - Pani Janos przemówiła do syna poważnym tonem, jakiego miała zwyczaj używać tylko wtedy, gdy zrobił coś wyjątkowo nagannego.

- To długa historia - zaczął.

- Nigdzie nam się nie spieszy. Pozwolisz, że zrobię herbatę, a ty spróbuj nam wytłumaczyć, dlaczego nie mogłeś poczekać tych kilku dni, żeby zaprosić na ślub własnych rodziców.

- To nie był ślub kościelny, tylko zwykłe podpisanie kontraktu w ratuszu. - Michael usiadł przy stole kuchennym między ojcem a siostrą.

- Czy przypadkiem nie podpisałeś tego kontraktu czternastego? - spytał ojciec. - To zły dzień na zawieranie małżeństwa.

- Nie, nie czternastego, tylko dwudziestego pierwszego.

- Wczoraj? - Jego matka pokręciła z niedowierzaniem głową. - Naprawdę nie mogłeś na nas poczekać choćby jeden dzień? Przecież dobrze wiedziałeś, że dzisiaj wracamy. Skąd ten pośpiech?

- Ze względu na dziecko. Chcemy jak najszybciej przeprowadzić postępowanie adopcyjne.

- No właśnie... - Pani Janos pomachała w jego kierunku łyżeczką do herbaty. - Odkąd to radzisz sobie tak świetnie z małymi dziećmi?

- Odkąd poznałem Hope. Poczekaaj, mamó, aż ją sama zobaczysz. Nie będę ci musiał niczego wyjaśniać. To dziecko jest wyjątkowe.

- Nigdy dotąd nie zwracałeś uwagi na dzieci!

- Dlatego, że wszystkie na mój widok podnosiły wrzask.

- Jeśli mnie słuch nie myli, to wyjątkowe dziecko również ma zdrowe płuca...

- Oczywiście, ale natychmiast przestaje płakać, kiedy bio-reje na ręce.

- Już to widzę! - parsknęła śmiechem Gaylynn.

- Michaël, ona chce do ciebie. - Brett weszła do kuchni z zapłakaną Hope, która na sam widok wyciągniętych ramion Michaela zamilkła.

- Ja chyba śnię... - Gaylynn przyglądała się bratu z nie-tajonym podziwem.

- Wciąż jednak oczekuję wyjaśnienia-przypomniała surowo Maria, ale jej lodowate spojrzenie stopniało w tej samej chwili, kiedy Hope uraczyła ją bezzębnym, szerokim uśmiechem. - Och, ona jest naprawdę cudowna! Myślisz, że pozwolili mi się potrzymać?

- Oczywiście, że pozwoli.

Kiedy trójka Janosów zaczęła chwalić wdzięk i urodę Hope, Michael skorzystał z chwili zamieszania i poprosił Brett na stronę.

- Brett, pamiętam, że to ja ciebie przekonywałem, że wta-jemniczenie mojego kumpla z policji niczym nie grozi, a po-tem się przeliczyłem, ale... chciałbym powiedzieć rodzicom prawdę. Oni nas nie wydadzą. Jeśli ich poprosimy, nie powie-dzą nikomu. Zgodzisz się?

- Musimy im coś powiedzieć - odparła z irytacją w głosie - i oczywiście lepiej, żeby to była prawda. Pozwolisz jednak, że tym razem wezmę to na siebie.

Najprościej jak umiała, opowiedziała Janosom całą historię - od znalezienia Hope za drzwiami do realnej obawy, że po-dejrzewająca coś opiekunka społeczna wpadnie na ich trop i odbierze dziecko.

- Spędziłam w sierocińcach - powiedziała na koniec

- prawie całe dzieciństwo. Nie zniósłabym myśli, że identyczny los spotka Hope. - Chciała się przyznać, że nigdy nie będzie mogła mieć własnych dzieci - żeby raz na zawsze wszystko było jasne - ale zabrakło jej odwagi.

- Musieliśmy działać szybko albo godzić się na ryzyko, że utracimy Hope - dodał Michael.

- Człowiek nigdy nie powinien tracić nadziei - powiedziała pani Janos z serdecznym uśmiechem.

- Dziękuję, mamó. Wiedziałem, że zrozumiesz.

Znacznie później, kiedy Maria, Brett i Gaylynn rozpieszczęły Hope, Michael przeszedł z ojcem do pokoju dziennego, żeby wypytać go o szkatułkę.

- Tato, proszę cię, umieram z ciekawości już od kilku tygodni. O co chodzi z tą tajemniczą szkatułką?

- Został w niej zaklęty urok miłosny, który pada na co drugie pokolenie Janosów począwszy od... bodajże początków osiemnastego wieku. Tak mi się zdaje.

- Urok miłosny? Ależ tato...

- Spytałeś, to ci odpowiedziałem.

- Co drugie pokolenie, mówisz...

- Właśnie.

- A więc które ostatnio?

- Twoje, Gaylynn i Dylana.

- Pięknie.

- Chcesz wysłuchać legendy czy nie?

- Przepraszam. Jasne, że chcę, opowiadaj.

- A więc jak głosi rodzinna legenda, pewna piękna młoda Cyganka zakochała się szlachcicu, ale była to miłość zakazana, bo on był hrabią...

- Na pewno zbankrutowanym - zadrwiła Gaylynn, która podeszła do nich nie zauważona.

- Pytał cię ktoś o zdanie? - ofuknął ją Michael.

- Skoro to legenda rodzinna, mam takie samo prawo jej wysłuchać jak ty. Nie bój się - uspokoiła Michaela, który zerknął w stronę kuchni - Brett i mama od razu znalazły wspólny język. Trajkoczą jak przyjaciółki ze szkoły, które spotkały się po dwudziestu latach. Opowiadaj dalej, tato.

- Na czym to ja skończyłem?

- Na tym, jak to piękna młoda Cyganka zakochała się w jakimś podejrzanym hrabi - przypomniała Gaylynn.

- No właśnie. Hrabia nie odwzajemniał jej uczuć, dlatego dziewczyna postanowiła kupić miłosne zaklęcie, które odmieniłoby jego serce. Zapłatą za tę przysługę miał być jedyny wartościowy przedmiot, jaki posiadała - grawerowana szkatułka, należąca do jej rodziny od wielu pokoleń. Kłopot w tym, że „szuwani”, która wypowiedziała urok, pomyliła się i sfuszerowała robotę. Przyznała się do błędu, zrezygnowała z zapłaty i pozwoliła dziewczynie zatrzymać szkatułkę.

- Na czym dokładnie polegała jej pomyłka? - spytała Gaylynn.

- Urok nabrał mocy w następnym pokoleniu. Odtąd co drugie pokolenie młodych Janosów miało znajdować miłość tam, gdzie jej będzie szukało - w sensie dosłownym! Pierwsza osoba przeciwnej płci, na którą padnie wzrok tego, kto otworzy czarodziejską szkatułkę, będzie obiektem jego, lub jej, dozgonnej miłości. Odwzajemnionej! Jesteśmy przodkami w prostej linii tamtej cygańskiej dziewczyny.

- Dlaczego dopiero teraz opowiedziałeś nam tę historyjkę? - zapytał Michael.

- To nie jest taka sobie historyjka, synu. Czarodziejska szkatułka istnieje naprawdę, a według przekazów rodzinnych pomogła skojarzyć kilka niezwykłych par. Nie mówiłem wam

o tym wcześniej, bo urok zaklęty w tym metalowym pudełku nie mógł paść na mnie i na waszą matkę. Za to wasi dziadkowie... - Konrad pokręcił głową. - Jakby ich piorun raził. Moja matka była utalentowaną skrzypaczką. W latach trzydziestych grała nawet w Orkiestrze Filharmonii Budapeszteńskiej. Dostała szkatułkę, kiedy umarła jej babka. Mój ojciec, o wiele młodszy od mamy, był mechanikiem samochodowym i akurat naprawiał jej samochód. Wystarczyło jedno spojrzenie - i byli w sobie zakochani. Wybuchła druga wojna światowa, mój ojciec został powołany do wojska, a matka, ze swoim cygańskim pochodzeniem, cudem uniknęła obozu koncentracyjnego. Była zdruzgotana, kiedy dowiedziała się, że mój ojciec zginął ostatniego dnia wojny. Ja byłem ich jedynym dzieckiem. Żyła jeszcze, kiedy się ożeniłem, ale nie doczekała się narodzin moich dzieci... Nie mogłem się z tym nigdy pogodzić... - Ojciec uniósł głowę, żeby powstrzymać łzy. - Byłaby dumna z takich udanych wnuków.

Gaylynn przytuliła się do ojca, a Michael ścisnął jego ramię na znak milczącego porozumienia. Konrad Janos był człowiekiem wrażliwym i impulsywnym, bardzo żywo reagującym zarówno na ból, jak na radość.

- Wasza cioteczna babka, Magda - mówił dalej, wzięwszy przedtem głęboki oddech - jest rodzoną siostrą waszej babci. Pamiętam, jak po śmierci mojej mamy przysięgała, że nigdy nie otworzy szkatułki - mimo że to ona, jako następna w kolejce, mogła skorzystać z zaklętego w niej uroku. O ile wiem, dotrzymała słowa, w każdym razie na pewno nie wyszła za mąż. A więc, synu, na kogo spojrzełeś, kiedy otworzyłeś szkatułkę?

Wzrok Michaela powędrował do kuchni.

- A więc była to Brett. Tak jak sądziłem. W takim razie pobraliście się z miłości, cokolwiek byś mówił.

- Tato, tłumaczyłem ci, że wzięliśmy ślub ze względu na dziecko.

- A ja cię zapewniam, że to sprawa czarodziejskiej szkatułki. - Ojciec machnął pobłażliwie ręką.

- A co mówi legenda o kluczyku, który był w środku?

- Nic nie wiem o żadnym kluczyku. Pokaż mi go.

Michael podszedł do wieży stereo, na której postawił szkatułkę, ale nie znalazł jej.

- Brett - zawołał - gdzie może być cygańska szkatułka?

- Nie wiem. Może w tym bałaganie, kiedy chowaliśmy różne rzeczy przed Hope, gdzieś ją przestawiłam.

- Nie szkodzi. - Konrad poklepał Michaela po ramieniu.

- Pokażesz mi ją następnym razem. Może w Wigilię? Mam nadzieję, że odwiedzicie nas wszyscy.

- Możesz na nas liczyć.

- Przykro mi, że nie mogę wam nic powiedzieć o zawartości szkatułki. Oczywiście było o wiele więcej romantycznych historii związanych z zaklętym w niej miłosnym urokiem. Nie przypomnę sobie szczegółów w tej chwili, ale wiem, że wasza matka spisywała historie, które opowiadała nam moja matka... Dawno temu, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w starym kraju. Znajdą się gdzieś na pewno w rodzinnych papierach.

- Miałem nadzieję, że domyślisz się, co można takim kluczem otworzyć. Jest bardzo stary, z czystego srebra, misternie grawerowany.

- A nie przyszło ci do głowy, że to klucz do twój ego serca?

- Daj spokój, tato. Wiesz przecież, że nie wierzę w magię.

- Magia to umiejętność wywoływania zdarzeń, sprawie-

nia, że stanie się to, co chcesz. I w co tu nie wierzyć? Magia jest potężna i nie wolno jej lekceważyć. Pamiętaj o tym, a wszystko będzie dobrze.

- Nie sądzisz, że Hope jest za mała, żeby zrozumieć, o co tu chodzi? - spytała Brett, przeciskając się z wózkiem przez tłum ludzi zmierzający do chicagowskiego Muzeum Nauki i Przemysłu.

- Jest wystarczająco duża, żeby się dobrze bawić. Ty zresztą wyglądasz na bardziej podnieconą od niej.

- Odkąd pamiętam, uwielbiałam przychodzić na tę wystawę. „Świat w Boże Narodzenie” - sam tytuł przyprawiał mnie o dreszcze. Po raz pierwszy - miałam wtedy najwyżej cztery latka - przyszłam obejrzeć choinki z moją zastępczą rodziną - sympatycznym małżeństwem, które tuż po świętach oddało mnie z powrotem do sierocińca. Nie jestem pewna, dlaczego to zrobili, ale może spodziewali się własnego dziecka... W każdym razie następnym razem odważyłam się tu przyjść dopiero jako trzynastoletnia dziewczynka - sama. Kiedy miałam choinkę ze Szwecji, obiecałam sobie nagle, że któregoś dnia tam pojedę... Potem obejrzałam całą wystawę i zapamiętałam kraje najbardziej warte zwiedzenia - kierując się wyłącznie sposobem, w jaki ich mieszkańcy ubierają choinki. Było to oczywiście marzenie. Nie wybrałam się dotąd w żadną podróż.

- Dobrze jest mieć marzenia - powiedział ku jej zaskoczeniu Michael.

- Założę się, że jeszcze miesiąc temu nie śniło ci się, że niedługo będziesz żonatym mężczyzną i że będziesz pchał wózek z dzieckiem.

- To ty pchasz wózek, nie ja.

- Myślę, że z tej wysokości Hope niewiele zobaczy - powiedziała, kiedy zbliżali się do wejścia na wystawę.

- Wezmę ją na rękę, a do wózka włożę tę ciężką torbę.

Brett zatrzymała się chwilę, żeby znaleźć chusteczkę do wytarcia buzi Hope, a kiedy dogoniła Michaela z dzieckiem, zauważyła, że towarzyszy im jakaś piękna kobieta.

- Mikę! Co za niespodzianka! Ty w takim miejscu? Zawsze mówiłeś, że nienawidzisz tłumu. No nie... nie wierzę własnym oczom - Mikę z dzieckiem na ręku!

- Co w tym dziwnego?

- Daj spokój! Ty z dzieckiem? Musisz przyznać, że to obrazek nie tej ziemi. Facet, który wpada w panikę z powodu niewinnego komentarza na temat mebli w jego mieszkaniu?

- Zmieniłem się.

- Przez jeden miesiąc? Widzieliśmy się na początku listopada - w tej małej francuskiej knajpce, pamiętasz? - spytała uwodzicielskim szeptem.

- Ożeniłem się - oświadczył głośno.

- Nie wygłupiaj się! To ma być żart?

- A widzisz, żebym się śmiał? - spytał lodowatym tonem.

- Ale mówiłeś, że nie ma takiej siły, która skłoniłaby cię do małżeństwa! Zaledwie kilka tygodni temu słyszałam z twoich własnych ust, że nie urodziła się jeszcze kobieta, dla której zrezygnowałbyś z najcenniejszego daru mężczyzny, jakim jest wolność!

- Zmieniłem zdanie - mruknął.

- Michael - odezwała się Brett - nie masz zamiaru przedstawić mnie swojej przyjaciółce?

Czuła piekącą zazdrość, ale miała nadzieję, że jej głos zabrzmiał naturalnie. Znajoma Michaela wyglądała jak modelka przed pokazem - wspaniała fryzura, doskonale polakie-

rowane paznokcie, wszystkie szczegóły stroju perfekcyjnie skomponowane.

A przy niej Brett - w czarnych legginsach, sportowych butach i w niebieskim starym swetrze. Paznokcie i dłonie po wczorajszych naprawach hydraulicznych aż prosiły się o maniur. Nie zdążyła nawet pomalować ust.

- Brett, to jest...

- Adrienne - powiedziała domniemana modelka z uśmiechem, którego nie powstydziliby się żadna osoba reklamująca pasty do zębów. - A ty kim jesteś?

- Żoną Michaela.

- Kiedy to szczęśliwe wydarzenie miało miejsce, Mikę? Nikt z naszych wspólnych przyjaciół nie przypuszczał...

- Nie było hucznego wesela.

- Nie mogę w to uwierzyć! Michael żonaty...

- Po prostu uwierz - powiedziała Brett niebezpiecznie oschłym tonem.

Michael przygarnął ją do siebie, jakby obawiał się, że to dopiero początek starcia.

- Chodźmy, wstrzymujemy kolejkę.

- Zadzwoń do ciebie po świętach. - Adrienne rzuciła mu powłóczyście spojrzenie. - Musimy skrzyknąć się na jakiś przyzwoity bankiet. Z całą paczką. Ty też możesz wpaść, Bitsy. Jeśli zechcesz.

Tego Brett było za wiele. Nie miała zamiaru znosić bezczelności tej kobiety ani chwili dłużej.

- Mam na imię Brett, droga pani, a co ja zechcę zrobić...

- Ruszyć się stąd - przerwał jej stanowczym tonem Michael. - To chcemy teraz zrobić. Cześć.

- Zmieniamy numer telefonu - oświadczyła Brett, kiedy Adrienne zniknęła im z oczu.

- Spotkałem się z tą kobietą jeden jedyny raz w życiu...
- To wszystko, co z nią robiłeś? Spotkałeś się?
- Tak.
- Nigdy nie byliście... no wiesz.
- Nigdy nie byliśmy... no wiesz - zadrwił z uśmiechem.

Dopiero kiedy obejrzelili dwie następne choinki, wróciła do tematu.

- Mówiła do ciebie: Mikę.
- Wymówienie dwusylabowego imienia przekracza jej możliwości.
- Jeśli tak nisko oceniasz Adrienne, po co ją zaprosiłeś na kolację?
- Nie ja zaprosiłem, tylko ona mnie.
- To dlaczego się zgodziłeś?
- Byłem wtedy frajerem.
- Coś podobnego: frajerem... Wymówka dobra jak każda inna.
- Teraz mam lepszy gust - szepnął jej do ucha.
- Nie każdy by się z tym zgodził.
- Na świecie jest pełno frajerów.

Kiedy cała rodzina zebrała się wokół choinki, ojciec Michaela wzniósł pierwszy toast.

- *Egeszegere!*
- Salut! - zawołała Brett, nie próbując nawet powtórzyć węgierskiego słowa.

W ślad za wszystkimi Janosami wychyliła jednym haustem kieliszek klarownego zimnego trunku.

- Nie jest to może *hdzi pdlinka...* *pdlinka* własnej roboty
- wyjaśnił Brett ojciec Michaela - ale da się wypić.

- Boże... co... co to jest? - wykrztusiła Brett, kiedy po kilkunastu sekundach odzyskała głos.

- Gruszkówka - uświadomił ją Michael, poklepując w plecy. - Dobrze się czujesz?

- Jasne. - Nie mogła zrozumieć, dlaczego zaczęła nagle mówić głosem Lauren Bacall. - Dobrze, że nie jestem śpiewaczką, musiałabym zmienić zawód.

- Rzeczywiście, nowicjuszowi palinka może się wydać trochę szokująca - przyznał Michael.

- Dylan twierdzi... - Gaylynn uśmiechnęła się rozbrajająco - że nowicjuszowi cała nasza rodzina może wydać się nieco szokująca.

- Dylan, mój młodszy brat - wyjaśnił szybko Michael - jest obieżyświatem.

- Dzwonił dziś rano - powiedziała Maria. - Jest teraz w Nowym Meksyku, jeśli dobrze zapamiętałam.

- Ciekawe... Ostatnią kartkę do mnie wysłał z Oklahomy, a nie z Nowego Meksyku.

- Zdaje się, że ten chłopiec nigdy się nie ustakuje - westchnęła Maria.

- Czas na prezenty! - Konrad klasnął kilka razy w dłonie. - Bo nie zdążymy do kolacji. - Odmówił krótką modlitwę i sięgnął po najbardziej kolorową paczkę. - To coś dla ciebie, Brett.

Brett nigdy jeszcze nie otwierała tak wcześnie prezentów gwiazdkowych. Było jeszcze widno, ale Michael uprzedził ją, że w ich domu kolacja wigijijna zaczyna się wówczas, gdy na niebie pojawi się pierwsza gwiazda, a prezenty otwierane są zawsze przed kolacją.

Hope, w swoim foteliku bujanym, piszczła z radości, kiedy Brett odwijała prezent z szeleszczącego papieru. Chwilę

potem, oniemiała z zachwytu, wpatrywała się w czerwoną haftowaną kamizelkę.

- Podoba ci się? - spytała Maria.

Kiwnęła głową.

- To dobrze.

- Czerwony kolor przynosi szczęście - odezwał się Konrad. - Otwórz następny prezent. - Wręczył jej mniejszą paczkę, w której była maleńka kamizelka dla Hope, również czerwona.

- To komplet dla matki i córki - wyjaśniła Maria. - Zrobiłam go przed narodzinami Gaylynn. Teraz będzie należał do ciebie i Hope.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepnęła Brett.

- Zobaczmy, czy Hope będzie w niej do twarzy.

- Poczekajcie chwilę z tym pokazem mody, muszę rozpakować prezent, który sam sobie kupiłem - powiedział Michael, wyjmując z kartonowego pudła kamerę wideo - z załadowaną kaseta, gotową do pracy.

Wszyscy po kolei zaczęli oglądać prezenty, wydawali z siebie ochy i achy, podczas gdy Michael ich filmował.

- Obejrzyj prezent ode mnie? - spytał Brett, wręczając jej małe pudełeczko.

- Trochę za małe na młotek... - zażartowała.

- Nie powiedziałbym. - Otworzył aksamitne puzderko z maleńkim złotym młotkiem na serpentynowym łańcuszku. Podoba ci się? - spytał niecierpliwie.

- Jest piękny - szepnęła. - Dziękuję.

- Pierwsza gwiazda na niebie! - ogłosił Konrad. - Skończmy z prezentami i zabierajmy się do kolacji.

Stół uginał się pod ciężarem tradycyjnych wigilijnych potraw. Zaczęli od kapuśniaku, potem były ryby, kluski, świeże

owoce i specjalny świąteczny chleb. Na deser ciastka z makiem w kształcie końskich podków - na szczęście.

- Dwoma filarami kuchni węgierskiej - rozpoczął żartobliwy wykład Michael - są papryka i mak.

- Papryka jest zdrowa - powiedziała z naciskiem jego matka. - Zawiera mnóstwo witaminy C.

- Witaminę C, jeśli już o niej mówimy, odkrył węgierski uczony - wtrąciła się Gaylynn.

- Moja siostra nie byłaby sobą, gdyby nie przypomniała wszystkim, że jest nauczycielką - zadrwił Michael.

Gaylynn cisnęła w niego serwetką.

- Dzieci! - Maria pokiwała głową z dezaprobatą. - Zachowujcie się przyzwoicie przy stole. Nawet mała Hope ma, lepsze maniery.

- Szkoda, że nie widziałas jej w akcji, kiedy je marchewkę. Mało apetyczny widok.

- Powinam ci pokazać twoje zdjęcie w jej wieku - z całą twarzą i włosami w maśle.

- Nie, mamu - skrzywił się z niesmakiem - nie pokażesz nam tego zdjęcia. Spaliłem je po ostatnim publicznym pokazie.

- Negatyw na pewno ocalał - powiedziała Gaylynn z satysfakcją w głosie.

- Mama przy okazji pokaże nam zdjęcie gołej dziewczynki na dywanie... - odciął się Michael.

Brett miała cudowne wrażenie, że należy do tej rodziny od dawna. Pomiedzy Hope, która siedziała na podwyższonym krzeselku, a Michaelem czuła się jak dziecko szczęścia. Prawdziwe Boże Narodzenie... Chociaż nie było biało - wczorajszy śnieg stopniał, a nic nie zapowiadało, że spadnie następny - ona i tak wiedziała, że to najpiękniejsza Wigilia w jej życiu.

Po kolacji Maria usiadła przy fortepianie i wspólnie zaczęli śpiewać kolędy. Michael miał piękny głos, podobnie jak jego ojciec, obaj zaś wspominali ze śmiechem, że Dylan nie potrafił powtórzyć bez fałszu nawet jednej nuty.

- Kiedyś ksiądz poprosił go w kościele, żeby nie śpiewał, tylko wymawiał cicho słowa - przypomniał sobie Konrad, szykując się do wyjścia na pasterkę.

Kiedy Maria szeptała coś Brett, Gaylynn skorzystała z okazji, żeby porozmawiać na stronie z Michaeliem.

- Wiesz co, myślałam, że ja jestem najbardziej szalona w tej rodzinie, i nagle ty ni stąd, ni zowąd pakujesz się w małżeństwo. Ale kiedy poznałam Brett, przestałam ci się dziwić, Lubię ją, braciszku. Udało ci się.

- Cieszy mnie twoje uznanie - odparł kpiąco.

- Wiedziałam, że cię ucieszy! Wesołych świąt.

- Wzajemnie, siostrzyczko.

Dopiero po powrocie do domu uświadomił sobie, że nie szukał nawet cygańskiej szkatułki, a jego ojciec wcale się o nią nie dopytywał.

Brett kręciła się niespokojnie w łóżku, usiłując powrócić do rzeczywistości. Męczyły ją koszmary i chociaż czuła podświadomie, że to tylko sen, nie umiała się niego wyrwać. Ona, Michael i Hope świętowali przy choince Wigilię. Wszystko było, jak trzeba. Nagle do pokoju wpadła jakaś kobieta i wyrwała jej dziecko.

- To nie twoja córka - wrzeszczała. - Ona jest moja! Moja! Nie twoja! Moja!

Brett próbowała krzyczeć, odebrać Hope... próbowała się poruszyć... ale była jak posąg. Nawet krzyk uwiązł jej w gardle.

- Niiieeee!!!

Obudził ją dopiero własny głos.

Sekundę później do pokoju wpadł Michael w czarnych jedwabnych szortach, które dostał od Brett na gwiazdkę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Już dobrze, kochanie, uspokój się, to był tylko sen - szeptał Michael, głaszcząc jej włosy, kiedy z twarzą przytuloną do jego torsu starała się oswoić z koszmarem, który wciąż miała przed oczami.

- Ale to mi się zdawało takie rzeczywiste...

- Co ci się zdawało? O czym był ten straszny sen?

- Zabrała mi Hope.

- Kto? - Michael zaczął masować kciukiem kark Brett. Każdy jego dotyk sprawiał jej ulgę, a zarazem podniecał.

- Nie wiem. Jakaś kobieta. Siedzieliśmy we trójkę koło choinki, a ja byłam taka szczęśliwa... Powiedziała, że Hope jest jej dzieckiem. Nie rozpoznałam jej, ale wyrwała mi Hope i uciekła z nią!

- Cicho. Hope jest w łóżeczku. Spójrz. - Odchylił się, żeby mogła zobaczyć śpiące dziecko.

- Przepraszam... - Bezwiednym gestem otarła łzy z policzków. - Nie chciałam cię obudzić. Wracaj do łóżka. Nic mi nie jest. Proszę cię, wracaj do siebie.

- Posuń się. - Michael nie miał najmniejszego zamiaru zostawić jej w takim stanie w środku nocy.

Posunęła się odruchowo, a dopiero potem zadała pytanie:

- Co ty robisz?

Wsunął się pod kołdrę, przykrył nią siebie i Brett, a potem ułożył żonę wygodnie i otoczył ramionami.

- Spróbuj teraz zasnąć - szepnął. - Będę przy tobie.
- Ale ja przy tobie nie zasnę.
- Oczywiście, że zaśniesz. - Zwolnił delikatnie uścisk i objął ją w talii. Potem kojącym, monotonnym głosem zaczął opowiadać o kolejnych świętach Bożego Narodzenia, jakie spędzał w swojej węgierskiej rodzinie.

Dopiero kiedy poczuł, że jest całkiem rozluźniona i oddycha miarowo, pewien był, że zasnęła. Musnął wargami jej biały kark.

- Nie jesteś już sama - powiedział. - Nigdy więcej nie będziesz sama.

Brett wyśpiewywała najróżniejsze głupstwa na melodię „Deszczowej piosenki” - byle tylko Hope zechciała zjeść chociaż część swojej obiadowej porcji makaronu z warzywami.

Właściwie jadły i karmiły się nawzajem. Najczęściej jednak, kiedy Hope udawało się włożyć nitkę makaronu do ust Brett, mała była tak podniecona swoim sukcesem, że następną porcję jedzenia ciskała w powietrze.

„Im chętniej będziesz pozwalać swojemu dziecku na pomoc w czynnościach związanych z karmieniem, tym szybciej nauczy się jeść samodzielnie”. Cytując w myśli fragment poradnika dla rodziców, przypomniła sobie, dlaczego tak cierpliwie znosi ten bałagan i traci tyle czasu na nakarmienie jednej małej dziewczynki.

Zupełnie nie podzielając wątpliwości Brett, która odklejała ze swego czoła pojedyncze nitki makaronu, Hope przekrzykiwała samą siebie radosnym „ga-ga-ga”.

Niespodziewanie, kiedy Brett pochyliła się, żeby podnieść z podłogi łyżeczkę, dziecko uderzyło zabawką w blat specjal-

nego krzesła do jedzenia i zawołało „Maa-maa!” Kątem oka zauważyła rączkę Hope skierowaną w jej stronę.

Mimowolny okrzyk radości i zdziwienia dotarł do Michaela, który w tej samej sekundzie wpadł przerażony do kuchni-

- Co się stało? - Kiedy zobaczył mokre od łez policzki Brett, oparł się z wrażenia o ścianę.

- Nazwała mnie mamą - powiedziała Brett.

- Jesteś pewna, że to nie było „ga-ga”?

- Nie, to było wyraźne „mama”. Na dodatek wskazała mi rączką. Hope, powiedz to jeszcze raz.

- Daaa daaa!

- To dziecko umie mówić! - krzyknął Michael jeszcze głośniej niż Brett chwilę wcześniej. - Poczekaj, muszę to sfilmować. Nie ruszajcie się!

- Pamiętaj, że będzie to oglądała za dwadzieścia lat - przypomniała mu Brett, kiedy wrócił z kamerą.

- Skarbie, powiedz to jeszcze raz.

- Co mam powiedzieć, koteczku? - zapiszczała fałszywym sopranem.

- Ale śmieszne! - Ustawił zbliżenie jej twarzy, marząc żeby choć raz udało mu się utrwalić na taśmie ten niezwykły blask bijący z jej oczu. Potem skierował obiektyw na Hope.

- Dalej, Hope, powiedz jeszcze raz „da-da”. Nie daj się prosić, wiemy, że to potrafisz.

Dziewczynka dała z siebie wszystko, żeby wypaść jak najlepiej. Nie mówiąc na razie ani „mama”, ani „dada”, chwyciła trochę makaronu i wycelowała nim prosto w obiektyw.

- Właśnie za takie numery będę nazywał cię „siusiumajtką” do osiemnastego roku życia — powiedział z udawaną złością, wiodąc okiem kamery po kuchennym bałaganie.

- Czy podać sos marinara do tego makaronu? - spytała

Brett tonem kelnerki, a potem wręczyła Michaelowi ścierkę do wytarcia obiektywu.

- Nigdy nie denerwuj mężczyzny z kamerą. - Brett pogroziła palcem Hope.

- Ma-ma - powiedziało dziecko z żalem w głosie, po czym rozgadało się na dobre: - Ma-ma-ma-ma-ma, ga-ga-ga-ba-ga - mała gaworzyła i wymachiwała rączkami, jak gdyby domagała się od Brett większego zainteresowania.

- Nie ma co, wieczór mieliśmy pełen wrażeń... - powiedziała Brett, wchodząc do pokoju dziennego. - Ale dziecko śpi jak kamień.

- Przydałyby się jakaś kanapa...

- Skąd ci to nagle przyszło do głowy?

Wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru tłumaczyć jej, że znacznie trudniej byłoby uwieść własną żonę w fotelu niż na kanapie. Trudniej nie oznacza, że jest to niemożliwe, uznał, nie odrywając od niej wzroku. Brett zmieniła sportowe legginsy i bluzę na bardzo krótką zamszową spódnicę oraz turkusową bluzkę z głębokim dekoltem. Był prawie pewien, że włożyła ją na gołe ciało.

Zwilżył wargi, z nadzieją, że udało mu się przy tym nie cmoknąć... Wyglądała rewelacyjnie.

Na nogach miała pończochy. Zauważył ich połysk, kiedy tanecznym krokiem podeszła do niego bliżej. Od kiedy to Brett poruszała się jak syrena...? Dlaczego nigdy dotąd nie zauważył, że ma takie smukłe pęciny... A niby jak miał zauważyć, jeśli nosiła wyłącznie botki albo adidas? Teraz była w pantoflach na wysokich obcasach. Miała piękne, długie nogi.

Michael potarł nerwowo brwi, drugą ręką naciskając pomyłkowo przycisk potencjometru w pilocie telewizora.

- Trzy, dwa, jeden... - Na ekranie pojawiały się migawki z jakiegoś balu sylwestrowego. - Szczęśliwego Nowego Roku!

- Nie jest ci gorąco? - spytała Brett. - Bo mnie jest strasznie duszno. - Odpięła ostatni guzik bluzki. - Pewnie za długo siedziałam przy piekarniku... Napiekłam tych cynamonowych bułek jak dla pułku wojska.

To nie z powodu piekarnika jest Brett gorąco, myślał gorączkowo, wpatrując się w jej dekolt.

Zauważyła jego zmieszanie. Nabrała głęboko powietrza w płuca i obiecała sobie, że tym razem nie stchórzy. Planowała to uwiedzenie od tygodnia - spódnica mini, bluzka włożona na gołe ciało, figi z czarnej koronki - no i te cynamonowe ciastka. Wczoraj w telewizji usłyszała, że zdaniem jakichś naukowców to nie piżmo ani jakakolwiek inna woń, którą można zamknąć w butelce perfum, najbardziej podnieca mężczyzn, lecz zapach... cynamonowych bułeczek.

- Ja... - chrząknął kilka razy. - Ja... nigdy nie słyszałem, żeby ktoś piekł cynamonowe bułki na Nowy Rok. Opowiadałem ci, jak Węgrzy świętują sylwestra?

- Kto to jest Sylwester?

- Nie kto, tylko co. To ostami dzień roku. Tej nocy wszyscy się gdzieś bawią, piją, tańczą. O północy jemy specjalny gatunek kiełbasy.

- Podoba mi się wszystko poza tą kiełbasą - zmarszczyła nos. - W lodówce chłodzi się butelka szampana.

Michael pomyślał, że sam powinien wejść do lodówki, żeby ochłodzić nieco rozpaloną krew.

Brett wróciła z dwoma kieliszkami w jednej ręce i butelką szampana w drugiej.

- Wyrzałam przez okno. Pada gęsty śnieg. Dobrze, że zostaliśmy w domu. Możesz otworzyć szampana?

Wstrzymał oddech. Brett zasłaniała swoim ciałem snop światła padający z kuchni. Wyglądała jak anioł, podobnie jak tamtego dnia, kiedy się poznali - z magiczną aureolą wokół głowy. Musi koniecznie znaleźć czarodziejską szkatułkę...

- Michael? - powtórzyła. - Możesz otworzyć butelkę?

- Tak, oczywiście.

Wycelował korkiem w róg pokoju i o mały włos nie stracił gwiazdy z czubka choinki.

- Niezły strzał - powiedziała z uśmiechem. - Z toastem rzeczywiście powinniśmy wytrzymać do północy, ale wcześniej możemy chyba zwilżyć usta...?

- Uhm... - Nalał szampana do obu kieliszków. Swój od razu wychylił do dna, a potem przyglądał się, jak Brett sący leniwie trunek, nie odrywając błyszczących, lekko rozchylnych warg od oszronionego kryształu. Te usta doprowadzały go do szaleństwa.

- Brakuje nam tylko muzyki i tańca - powiedziała, sięgając po pilota. Sprawdziła kilka programów i zatrzymała się na czarno-białym filmie z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers.

- To jest dopiero magia... Kiedyś marzyłam, żeby nauczyć się tak tańczyć - szepnęła z żalem w głosie.

- Mogę dać ci lekcję - odpowiedział z uśmiechem i nie czekając na odpowiedź, porwał ją do tańca.

Może nie tańczyli tak jak Ginger z Fredem, ale Brett miała wrażenie, że w ramionach Michaela unosi się kilka centymetrów nad ziemią. Jego bliskość była dla niej bardziej upajająca od całej skrzynki najlepszego szampana.

Po kilku tańcach Michael sięgnął po pilota i - tym razem również nie pytając Brett o "zgodę" - wyłączył telewizor.

Ich usta połączyły się w szalonym, wyęsknionym przez oboje pocałunku.

Czując, że uginają się pod nią nogi, zarzuciła mu ręce na szyję, wplątując palce w jego grube, jedwabiste włosy. Michael przygarnął ją do siebie mocniej. Szeptał jej imię, kiedyś musiał zaczerpnąć powietrza - i całował dalej, do utraty tchu.

Brett czuła, że dłużej tego nie wytrzyma, że zacznie go błagać... Nie wiedziała, czy to ona pociągnęła go za sobą, czy opadli na podłogę jednocześnie.

Michael włożył rękę pod jej spódnicę, delikatnie rozsunął nogi i przykrył ją swoim gorącym ciałem. Leżał przez moment bez ruchu, kiedy ona bładziła palcami po jego plecach. Nagle uniósł się na łokciach i nabrał głęboko powietrza, Wprawnym ruchem odpiął wszystkie guziki jej bluzki. Brett westchnęła z ulgą.

Wpatrywał się w nią jak zaczarowany, a potem schylił głowę i dotknął wargami koniuszków jej piersi. Drżała z podniecenia, kiedy pieścił językiem najpierw jedną sutkę, potem drugą, rytmicznie poruszając biodrami.

Brett zacisnęła powieki. Nie mogła czekać dłużej. Czuła się tak, jakby za moment cały świat, wraz z nimi, miał eksplodować... Pragnęła, żeby w takiej chwili byli jednym ciałem... Teraz!

Kiedy wsunął palce pod jej koronkowe figi, jęknęła żałośnie.

- Zdejmij je, błagam...

Nie musiała go błagać. Pomagając mu pozbyć się spodni, nacisnęła łokciem guzik pilota. Na wielkim ekranie telewizyjnym ukazał się zegar i znowu migawki z balu. Tym razem naprawdę zbliżała się północ.

Wszedł w nią, kiedy rozpoczęło się odliczanie.

- Dziesięć... dziewięć... osiem...

Jego mocne pchnięcia wtórowały przemijaniu ostatnich sekund starego roku.

- Siedem... sześć... pięć...

Brett oddychała coraz szybciej.

- Cztery... trzy...dwa...

Uniosła gwałtownie biodra, żeby bardziej czuć go w sobie.

- ...jeden...

- Tak! - krzyknęła, kiedy przebiegł ją pierwszy dreszcz spełnienia. - Tak, tak, tak!

- Szczęśliwego Nowego Roku!

Michael wyprężył się, jakby spięty ostrogą, i opadł z jękiem w ramiona Brett. Telewizor zamilkł.

Kiedy wreszcie Michael położył się na boku i uwolnił Brett od swojego ciężaru, uśmiechnął się do niej z dziwnym błyskiem w oczach.

- To było lepsze od węgierskiej kiełbasy.

- Miałam nadzieję, że ci będzie smakować - odpowiedziała Brett z miną niewiniątka.

- Trochę nas poniosło.

- Uhm...

- Wciąż jesteś ubrana.

- Niekompletnie.

- Nie sprawiłem ci bólu?

Pokręciła głową.

- A ja tobie? - Roześmiała się.

- Możesz mnie nacechować jak byka - tutaj albo tutaj...

- Położył jej dłoń na swoich plecach.

- Tylko tutaj?

- Gdziekolwiek.

- Jest pan cudownym... tancerzem, panie Janos.
- Pani również. Jest pani gotowa do kolejnej lekcji?

Odpowiedziała uśmiechem i podała mu rękę. Chciała powiedzieć, jak bardzo jest szczęśliwa, ale nim zdążyła otworzyć usta, Michael wziął ją na rękę i zaniósł do łóżka.

- Tym razem będzie to wolny taniec...

Kiedy zmęczeni i szczęśliwi wrócili na ziemię, pierwszą rzeczą, na jaką spojrział Michael, była cygańska szkatułka. Stała na komodzie niedaleko łóżka, doskonale widoczna, mimo panującej w sypialni ciemności.

Brett zauważyła ją w tej samej chwili.

- Zdaje się, że to naprawdę czarodziejska szkatułka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co chciałeś przez to powiedzieć?
- Nic takiego, nieważne.
- Ale ja chcę wiedzieć. - Usiadła na łożku. - Mówiłeś, że ta szkatułka zginęła.

- Tak myślałem.
- Więc jak się znalazła w tak widocznym miejscu?
- Nie wiem.
- To metalowe pudełko rzeczywiście jest jakieś dziwne. Twój tata mówił o nim coś... Już wiem. Kiedy mu powiedziałeś, że jestem twoją żoną, on się nawet nie zdziwił, tylko uznał, że stało się to za sprawą szkatułki. Co to za historia?

- Jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć - westchnął zrezygnowany - to przynajmniej się nie śmiej. Według rodzinnej legendy Janosów, w tej szkatułce został zaklęty urok miłosny.

Brett wcale nie było do śmiechu. Przeciwnie, zimny dreszcz przebiegł ją wzdłuż kręgosłupa, kiedy uświadomiła sobie, jak wiele rzeczy mógł wyjaśnić ów miłosny urok. Na przykład, czy to możliwe, że taki mężczyzna jak Michael, który dotąd skutecznie unikał jarzma małżeństwa", nagle zmienił zdanie i zdecydował się z nią ożenić... po to tylko, żeby uratować przed sierocińcem podrzutka. Należała do ludzi myślących raczej sercem niż głową, dlatego w pierwszej chwili takie zachowanie mogło jej się wydać całkiem uspra-

wiedliwione. Z tego jednak, co wiedziała o przeszłości Michaela... Nie, to do niego niepodobne.

Czyżby więc Michael nie działał z własnej woli, tylko został „zauroczony”?

- Na czym polega taki miłosny urok? Jak on działa?

- Ktoś, na kogo zostanie rzucony, ma znaleźć miłość tam, gdzie jej szuka.

- Jak to: szuka?

- Legenda rodzinna głosi, że ów zauroczony pokocha pierwszą osobę przeciwnej płci, którą zobaczy po otwarciu szkatułki.

- A ty ją otworzyłeś, kiedy naprawiałam ci piecyk?

- Działa cudownie.

- Piecyk czy szkatułka?

- Miałem na myśli piecyk. Nie wierzę w czary.

- Ale twój ojciec wierzy. Uważa, że pobraliśmy się dzięki czarom.

- Jakie to ma dla nas znaczenie?

- Ma, bo wychowywał cię ojciec. Wiele jego poglądów i wierzeń wycisnęło piętno na tobie, bez względu na to, czy chcesz się do tego przyznać, czy nie.

Rozsądek jej podpowiadał, że nie powinna sobie zaprztać głowy cygańskimi przesadami. Jeśli jednak ta historia nie jest do końca pozbawiona sensu...? Brett nie doświadczyła w swoim życiu wielu cudownych zdarzeń, nie była więc w tej dziedzinie ekspertem. Z drugiej strony, kto by przypuszczał, że cynamonowe bułki mogą działać jak afrodyzjak?

Nieźle, pomyślała. Michael poszedł ze mną do łóżka dzięki cynamonowym bułkom, a ożenił się z powodu cygańskiego zaklęcia. To zaczyna przechodzić ludzkie pojęcie,...

- Dlaczego tak nagle zamilkłaś? - spytał z niepokojem.

Wiedział z doświadczenia, że kiedy Brett poważnie i cichnie, powinien zacząć się martwić.

- Pomyślałam sobie, że ta twoja rodzinna legenda może wyjaśniać wiele dziwnych rzeczy, które... zdarzyły się między nami.

- Na przykład: jakich?

- Na przykład ten... ciągły stan zapalny.

- Stan zapalny, powiadasz? - zapytał ochrypym głosem, kładąc jej rękę na najwrażliwszej części swego ciała.

Zmartwienia i wątpliwości Brett rozwiązały się jak za dotknięciem... czarodziejskiej różdżki.

Kiedy po kolejnym miłosnym szaleństwie odpoczywali objęci ramionami, Brett nie mogła uwolnić się od przeczucia, że dzieje się coś dziwnego. Nie zdawałaby sobie sprawy, że mówi na głos, gdyby Michael nie wyrwał jej z zamyślenia.

- Nic się nie dzieje... - mruknął. - I nic się nie będzie działo, dopóki nie odzyskam chociaż trochę energii...

- Chodziło mi o ten nieszczęsny urok.

- Mówiłem ci, że nie wierzę w takie rzeczy.

- Tak, słyszałam, ale siłą sugestii też można zdziałać cuda. Ludzie, którzy twierdzą, że nie wierzą w magiczne rytuały, moc szamanów i tego rodzaju sprawy - często im ulegają.

- Co ty chcesz mi wmówić? Że nie ożeniłem się z tobą z własnej woli?

- Musisz przyznać, że nasz... związek od początku nie był całkiem normalny.

- To, że działamy na siebie tak... zapalnie, jak byłaś uprzejma zauważyć, wcale nie znaczy, że nie chodzi o coś więcej... Co się stało? - spytał, widząc zmieniony wyraz jej twarzy.

- Zdaje się, że Hope płacze. - Chwyciła w rękę koszulę Michaela i owinęła się nią jak szlafrokiem. — Sprawdzę, czy wszystko w porządku. Nie, zostań. Pójdę do niej sama.

Wybiegła z pokoju, żeby nie wybuchnąć przy nim płaczem. To, co wydawało jej się miłością, dla Michaela było tylko pociągami fizycznym i niczym więcej. Nawet teraz, po tym jak się kochali... Nie, to ona kochała. On uprawiał z nią seks.

Wpatrzona w śpiące dziecko, głaskała je po główce, usiłując nie wypuścić spod powiek ani jednej łzy.

- Dlaczego nie umiesz się zadowolić tym, co masz? - Przypomniała sobie pytanie jednej ze swoich zastępczych matek. - Dlaczego zawsze musisz chcieć czegoś więcej?

Teraz owym „czymś więcej” była miłość Michaela.

- Wieprzowina w Nowy Rok wróży szczęście - powiedział Konrad, kiedy następnego dnia zasiadali do świątecznego obiadu w domu Janosów.

- Może i szczęście, ale nie dla twoich naczyń wieńcowych - upomniała go, jak co roku, Maria.

Michael nie wsłuchiwał się w przekomarzania rodziców, bez przerwy myśląc o Brett. Zachowywała się naturalnie, miała pogodną minę, ale odsunęła się od niego, niemal ignorowała, całą swoją uwagę poświęcając Hope. To wina tej przeklętej szkatułki!

Zdawał sobie sprawę, że rodzice nie mogą mu pomóc. Jego ojciec był przekonany o magicznej mocy szkatułki, a on mógł tylko żałować, że opowiedział Brett tę idiotyczną historię. Swoją drogą, zastanawiał się, czy ona naprawdę wierzy, że mógłby się ożenić pod wpływem czyjejś sugestii, gdyby naprawdę tego nie chciał?

Kiedy wieczorem wrócili do domu i byli gotowi pójść do łóżka, Brett zastanawiała się, czy nie powiedzieć Michaelowi, że będzie spała w drugiej sypialni. Zdecydowała jednak, że nie będzie robić na złość samej sobie. Przystanie bujać w obłokach i zadowoli się tym, co ma. Może to nie tak mało? W końcu nic nie mogło zmienić faktu, że ich pierwsza noc była niezwykła. A może z czasem nadejdzie i miłość...

Do diabła, nigdy nie umiała porzucać nadziei, i chyba nigdy się nie nauczy. Marzycielstwo stało się jej drugą naturą.

Był pierwszy dzień roku, na dodatek właśnie dzisiaj spadł świeży śnieg. Czy w taki dzień mogła nie myśleć o nowym życiu i nowych szansach? Ale przyszłość oznaczała też mnóstwo pułapek, lęk, uczuciową niepewność. Brett zawsze pierwsza mówiła „żegnaj” tym, którzy chcieli ją opuścić. Nie była jednak pewna, czy zdobyłaby się na to samo wobec Michaela. Gdyby doszedł kiedyś do wniosku, że postąpił lekkomyślnie, decydując się na to małżeństwo, że chce mieć więcej - na przykład własne dzieci - kto wie, czy znalazłaby w sobie tyle siły, żeby pozwolić mu odejść. Nienawidziła w sobie tej słabości.

Michael, niewiele mówiąc, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Kiedy Brett zeszła do sutereny po pranie, które poprzedniego dnia zostawiła w suszarce, przeniósł wszystkie jej ubrania do swojej szafy.

- Postawiłem ci na nocnym stoliku monitor niemowlęcy - to urządzenie, które dostaliśmy od rodziców na gwiazdkę. Będiesz słyszała Hope, gdyby zaczęła w nocy płakać. - Michael patrzył na Brett z takim pożądaniem, że nie miała serca robić mu wymówek... To prawda, że powinien ją spytać o zdanie, a dopiero potem urządzać przeprowadzkę, ale w końcu byli mężem i żoną.

Udobruchana, ułożyła sobie w głowie prywatne orędzie noworoczne: Ciesz się ze swoich skarbów - z dziecka i męża, których kochasz nad życie - i nie zastanawiaj się, jak ich zdobyłaś, ani co zrobisz, jeśli ich utracisz.

Przez kilka następnych tygodni żyli w zawrotnym tempie, tym bardziej że Brett rozpoczęła kurs psychologii na uniwersytecie, a w domu było jeszcze wiele do naprawienia. Mnóstwo czasu poświęcała oczywiście Hope, która kipiała coraz większą energią i rozwijała się na jej oczach. Nocami, jeśli tylko pozwalało jej na to dziecko, kochała się ze swoim mężem. Z radością, ale nie zapominała się w tym bez reszty - panowała nad emocjami, chroniąc swoje serce przed niepotrzebnym cierpieniem.

Michael czuł, że tak jest, ale ani myślał się poddać. Wszystkie swoje sprawy podporządkował głównej życiowej misji - zdobyć serce Brett.

Nigdy nie uwodził jej w jawny, banalny sposób. Miał za to w sobie więcej wewnętrznej siły niż jakiegokolwiek cygańskie zaklęcia. Osaczał ją z uporem i zapamiętaniem, którym trudno się było oprzeć.

Choćby takie oto wydarzenie. Mężczyźni na ogół przysyłają róże. Ale nie Michael. Zamówił dla niej szkatułkę w kształcie serca... z dwunastoma żołądziami w środku. „Dla Romów - wyjaśnił na dołączonym do prezentu bileciku - owoc dębu jest symbolem namiętności”.

Brett wpatrywała się w to zdanie, śledząc palcem niespokojne pismo Michaela. Były to pierwsze słowa, jakie do niej napisał - nie licząc instrukcji typu „Kup mleko i jajka”, które zostawiał rano na lodówce.

Dzwonek telefonu przerwał jej rozmyślania.

- Hało?
- Chciałbym, żebyś przyjechała dzisiaj do mojego biura
- odezwał się Michael. - Zdażysz na pierwszą?
- Ale o co chodzi?
- Weź ze sobą Hope.
- Po co? Stało się coś złego?
- Nie. Po prostu chcę, żebyś wpadła. Będziesz miała okazję poznać osobiście Lorraine.

Lorraine była jego sekretarką. Jeśli wspominał coś o swojej pracy - a rzadko mu się to zdarzało - to mówił głównie o Lorraine, którą uważał za „szczyt zawodowej doskonałości”. Nie zdradził zaś, mimo że Brett go o to spytała, szczegółów jej wyglądu ani wieku.

- Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż poznawanie twojej sekretarki - burknęła. - Ten energooszczędny termostat powinien być zainstalowany w bojlerze.

- A ja naprawdę mam do ciebie sprawę i proszę, żebyś tu wpadła - błagał przymilnym tonem, który przekonałby nawet vegetarianina do zjedzenia czerwonego mięsa.

- Dobrze, przyjadę, ale naprawdę nie na długo.

Ubrała się najstaranniej, jak mogła, nie zapominając nawet o kolczykach i pomalowaniu ust. Hope w swoim dżinsowym komplecie wyglądała pięknie i na szczęście dorosła do zimowego kombinezonu, w którym jeszcze miesiąc temu się topiła.

Do biura Michaela dotarli po pierwszej, nie zastając już Lorraine, która wyszła na lunch.

- Żałowała, że cię nie spotka - powiedział Michael.
- Wyobrażam sobie, jak bardzo - mruknęła pod nosem.
- Niestety, umówiła się już dawno temu na ten lunch ze swoją wnuczką.
- Wnuczką?

- Tak. Nie mówiłem ci? Lorraine ma czworo wnuków. Najstarszy jest w college'u.

Brett rozpogodziła się.

- Popatrz, Hope, to jest miejsce, w którym twój tatuś tropił przestępców.

- Tylko nie rób ze mnie Batmana - powiedział z kwaśną miną, biorąc Hope na rękę.

- Oboje macie ciemne charaktery.

- Dzięki za komplement, w imieniu własnym i Hope.

- Drobiazg. Do rzeczy: co to za ważna sprawa, dla której musiałam zmienić dzisiejsze plany? Kuratorka społeczna? Namierzyła cię czy co?

- Nie, nie w tym rzecz. Wpadła tutaj przed naszym ślubem, ale nie odezwała się od tamtej pory.

- Co?! Nie wiedziałam, że rozmawiała z tobą. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- .Bo nie chciałem cię denerwować.

- Co jeszcze przede mną ukryłeś z troski o moje nerwy?

- Hmm, nic mi nie przychodzi do głowy, poza tym, że kiedy opierasz w ten sposób rękę na biodrach, mam ochotę zderzyć z ciebie ubranie i kochać się z tobą, wszystko jedno gdzie, nawet w tym biurze, na moim biurku...

- Przestań. - Chwyciła jakiś plik papierów i zaczęła wachlować nim twarz Michaela. - Wróćmy do kuratorki.

- Przyszła, żeby mnie wypytać o tajemnicze dziecko, jak je raczyła nazwać.

- Czy ona wie, że to dziecko jest dziewczynką?

- Zorientowała się z rozmowy, którą podsłuchiwała w komisariacie. Ta kobieta przypomina z wyglądu buldoga. Zdaje się, że będę ją musiał zadowolić portretem pamięciowym... - powiedział niewyraźnie, jakby dopiero teraz wpadł na ten pomysł.

- Jak to? Czyim, portretem?
- Zrobię portret wymyślonej przyjaciółki, która zostawiła ci dziecko.

- Chcesz spreparować fałszywe dokumenty?
- Jeśli to będzie konieczne.
- Nie zgadzam się. Nie możesz podejmować takiego ryzyka.

- Jeżeli nie da się inaczej, jestem gotowy walczyć o swoją rodzinę wszystkimi dostępnymi metodami. Wiem, co robię. Na pewno nie będziemy mogli adoptować Hope bez jakichś zastępczych dokumentów. Sąd musi mieć jakieś papiery.

- Nie możesz przedstawić w sądzie sfałszowanych dowodów. Nie chcę, żebyś wylądował za kratkami!

- Masz jakiś lepszy pomysł?
- Jeszcze nie. Ale twój jest zbyt niebezpieczny. I nie przemyślany. Co będzie, jeśli pojawi się prawdziwa matka Hope?

- Mało prawdopodobne, jeśli nie pojawiła się do tej pory.
- Może i mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe.
- Nie miewasz już koszmarnych snów, w których zabierają ci dziecko?

- Nie. - Przytuliła Hope, która zaczęła pojękiwać, wyraźnie zdegustowana tym, że dorośli rozmawiają, nie zwracając na nią uwagi.

- Aha, słyszę, że ktoś tu jest bardzo nieszczęśliwy - zawołała od progu Gaylynn. - Pozwolicie, że spróbuję ją trochę pocieszyć?

Hope z radością wyciągnęła do niej rączki, a potem wczepiła się kurczowo paluszkami w jej włosy.

- Hej, mała, nie chcesz chyba mieć łysej cioci? - Otworzyła delikatnie piąstki dziecka, a potem ucałowała jedną po drugiej, głośno cmokając.

- Nie spodziewałam się, że spotkam tu akurat ciebie - powiedziała Brett. - Nie masz dzisiaj lekcji?

- W rocznicę urodzin Martina Lutra Kinga szkoła jest zamknięta, dlatego mogę poświęcić trochę czasu swojej ulubionej bratanicy - jeżeli nie macie nic przeciwko temu...

- Jasne, że nie - odparł szybko Michael, udając, że nie czuje na sobie podejrzliwego spojrzenia Brett.

- Koszyk postawiłam na biurku twojej sekretarki. Możecie się nas spodziewać za dwie godziny.

- Dzięki.

- Co tu jest grane? - zapytała stanowczym tonem Brett, kiedy siostra Michaela wyszła z pokoju.

- Próba uwiedzenia. - Podszedł bezszelestnie do drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- Zwabiłeś mnie tutaj, żeby...

- Żeby złożyć ci nieprzyzwoitą propozycję. Oskarżony przyznaje się do winy.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Uwierz. - Rozłożył na podłodze koc, postawił na nim koszyk piknikowy, który przyniosła Gaylynn, i uklęknął. - Wolisz kanapkę z pieczenia wołową czy a la Reuben?

- Wolę się dowiedzieć, dlaczego to robisz.

- Przecież ci powiedziałem.

- Co ty chcesz osiągnąć? Jaki masz interes poza... - zrobiła nieokreślony gest dłonią - tym...

- Samo „to” wystarczy, żeby rzucić dorosłego mężczyznę na kolana. - Wyciągnął do niej rękę. - Nie daj się prosić, zrzuć buty i usiądź przy mnie.

- Niech ci będzie. A twoja sekretarka? Nie wróci po lunchu?

- Dałem jej wolne popołudnie - powiedział, wgrzając się w kanapkę.

- Wolne popołudnie? Nie masz nic pilnego do roboty?
- Zrobiłem sobie przerwę.
- Powiedz, dlaczego nigdy mi nie opowiadasz o swojej pracy?

- Bo przy tobie nie myślę o pracy. Swoją drogą nie jest to aż tak ciekawe zajęcie, żeby było o czym mówić.

- Praca detektywa nie jest ciekawa?
- Chciałabyś posłuchać wykładu o przestępczości gospodarczej albo o najtrudniejszych do wykrycia matactwach urzędników?

- Chyba nie. Porozmawiajmy w takim razie o Hope. Może byśmy ustalili, w jaki sposób przeprowadzimy jej adopcję. Sam mówiłeś, że najważniejszy jest plan.

Rozważali kolejne możliwości, jedząc z przyjemnością lunch, który przyniosła im Gaylynn. Michael prawie nie odrywał wzroku od ust Brett. Kilka razy niespodziewanie musnął je palcami.

- Czy wiesz, że od pewnego czasu zachowujesz się bardzo dziwnie? - spytała z uśmiechem. - Może powinniśmy porozmawiać z twoim ojcem o szkatułce? Możliwe, że urok nabiera coraz większej mocy...

Michael pokręcił bezradnie głową, a potem patrzył długo w sufit.

- Trudno - odezwał się po dłuższej chwili - jeżeli wierzysz w cygańskie zaklęcia, możemy poćwiczyć inne ludowe sztuczki. Daj mi rękę.

- Po co?

- Nie pytaj, tylko daj. - Odwrócił jej dłoń wnętrzem do góry. - Pokażę ci, jak Cyganie odczytują z ręki przyszłość.

- Mówiłeś kiedyś, że wołą, żeby nazywać ich Romami. A sama czytałam, że wróżeniem nigdy nie zajmują się mężczyźni.

- Gdzie to wyczytałaś?

- Kiedy szukałam w bibliotece poradników dla matek, przy okazji przekartkowałam książkę o Romach.

- Wiesz, jaki ze mnie Cygan... Wychowałem się Ameryce. - Nie miał zamiaru się przyznać, że kupił niedawno książkę o chiromancji. - Cicho, muszę się skoncentrować.

Brett nie tylko nie była w stanie się skoncentrować, ale w ogóle myśleć, kiedy Michael opuszkami palców błądził po wrażliwej skórze jej dłoni. Boże, co za uczucie... Jak to możliwe, żeby niewinny dotyk ręki był tak podniecający...

- Zaczynamy od głównych linii - powiedział swoim głębokim głosem. - Ta, koło podstawy kciuka, to twoja linia życia. Pięknie! Długa, wąska, głęboka i w pełni okalająca Wzgórze Wenus, które odpowiada za przyjemności zmysłowe.

Powinna wyrwać mu rękę, ale chyba zbyt polubiła przyjemności zmysłowe, żeby znaleźć w sobie dość silnej woli i przerwać ten uwodzicielski seans.

- A ta środkowa linia poprzeczna rządzi głową.

- Pewnie jest przerywana, co wskazuje na chaos myśli.

- Przeciwnie, jest ciągła i wąska, co świadczy o wielkim rozsądku i silnej woli. No i ostatnia, ale jakże ważna, linia twojego serca. - Michael spojrzał jej prosto w oczy. - O, widzę przystojnego, wysokiego bruneta, który wkroczył w twoje życie.

- Zgadza się, jest taki na moim kursie psychologii rozwoju.

Michael zmarszczył czoło i przeszył ją groźnym wzrokiem.

- Im dłuższa jest linia życia, tym bardziej idealna miłość.

- „Idealna” to znaczy wymyślona przeze mnie, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością?

- A to linia ust. Widzisz, jaka szeroka? Należy do kobiety, która za dużo mówi.

- Odczep się! W chiromancji nie ma niczego takiego, jak linia ust.

Uśmiechnął się. Wiedziała, że się podda. Tym razem nawet jej poczucie humoru okazało się zbyt słabą bronią. Może dałaby sobie radę, gdyby nie położył jej dłoni na swoich ustach. Może... Wciąż na nią patrząc, Michael musnął językiem jej nadgarstek, a potem wpił się ustami w zagłębienie między palcami.

- Boże, żeby tu była kanapa... - jęknął obolałym głosem, spoglądając na resztki jedzenia i picia zajmujące prawie cały koc.

- Trzeba było przewidzieć... - szepnęła.

- Mam pomysł... - Wstał gwałtownie i podał jej rękę.

Nim Brett zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie, pocałował ją i zaczął delikatnie popychać do tyłu, krok za kroczkiem, aż oparła się o krawędź biurka. Usiadła na blacie. Rozłożył jej nogi, przysunął się bliżej, żeby czuć, jak jest podniecony.

Kiedy zerwał z niej spódnicę i majtki, przysła kolej na Brett. Jedną ręką rozsunęła zamek jego spodni, potem oburącz zsunęła je z pośladków, razem z bokerskimi szortami, które dostał od niej w prezencie.

Położyła dłoń na jego brzuchu, potem powędrowała nią w dół, coraz niżej...

- I kto tu kogo uwodzi? - zapytał łamiącym się głosem, kiedy jej palce zaczęły błędzić delikatnie tam i z powrotem.

- I kto tu za dużo mówi?

Jednym ruchem ręki zgarnął wszystko z biurka i położył ją na plecach. Kiedy nogami oplotła jego biodra, wbił się w nią jednym silnym pchnięciem. Uśmiechała się nieprzytomnie, kołysząc się w rytmie dyktowanym przez Michaela.

Kiedy jednak wyraźnie zwolnił tempo, a potem całkiem znie-
ruchomiał, Brett wyprężyła się i z zamkniętymi oczami zaczę-
ła pędzić na oślep...

- To jednak muszą być czary - szepnęła niewyraźnie, kiedy
odzyskała dech w piersiach. - Nie ma innego wytłumaczenia.

- Owszem, jest.

- Wiem, uważasz, że to naturalny pociąg seksualny - po-
owiedziała, okrywając się pospiesznie.

- Seks to potężna siła.

Miłość też, chciała krzyknąć. Ale słowa utknęły jej w gard-
le, kiedy przypomniała sobie bolesne zdania z przeszłości:

Przestań być taka niezdolna, Brett.

Dlaczego zawsze musisz chcieć więcej?

Potrzebuję kobiety, która może być prawdziwą żoną.

- O rany, nie nadszłam nawet wzrokiem za tym dzieckiem
- mrucał Michael, przyglądając się ze zdumieniem raczku-
jącej Hope.

Był początek lutego, dziecko miało około ośmiu miesięcy.

Przeżyli pierwsze jej przeziębienie i wyrzynanie się dra-
giego zęba. Obserwowali, jak się rozwija i rośnie w oczach.

Brett ani na chwilę nie zapomniła o swoim postanowieniu
noworocznym - cieszyła się z tego, co dał jej los, nie brała
marzeń za rzeczywistość, starała się nie myśleć z lękiem
o przyszłości. Wmawiała sobie kiedyś, że Michael ją kocha,
ale nie potrafi tego wyrazić. Teraz koniec ze złudzeniami -
i bez nich potrafi cieszyć się życiem.

Widziała, z jaką radością Michael przygląda się Hope.

- Ona jest jak zabawka - powiedział - która porusza się
dopóty, dopóki nie uderzy w coś twardego. Jak spadnie, pod-
nosisz ją i ciskasz w innym kierunku.

- Uważaj - ostrzegła go Brett - zainteresowała się gazetami.

- Wydaje mi się, że ona czyta, kiedy na nią nie patrzymy. I węszy po kątach.

- Jeśli już mówimy o węszeniu... Nie wiesz, czy kobieta podobna do buldoga przestała interesować się Hope?

- Właśnie dzisiaj zadzwonił mój kumpel z policji. Dziwna rzecz... ta kobieta zdecydowała się odejść na wcześniejszą emeryturę. Kiedy rozmawiała z nim po raz ostatni w komisariacie, słowem nie wspomniała o tajemniczym dziecku, jak gdyby w ogóle nie było sprawy... - Michael zerknął na czarodziejską szkatułkę, która - nie wiadomo dlaczego - stała teraz na regale z książkami. Gdyby był przesądny i wierzył w takie rzeczy... Dzięki Bogu wierzył w rozsądek i w to, że wszystko można logicznie wytłumaczyć.

- A więc odeszła? Co za ulga...

- No właśnie. Kamień spadł ci z serca, więc może skoncentrujesz się w końcu na swoim referacie z psychologii.

Brett chodziła na zajęcia w każdy poniedziałek i środę po południu. Hope zostawała w te dni pod opieką Friedy i Consueli, które traktowały ją jak własną wnuczkę.

Zajęci rozmową, nie zauważyli, kiedy dziecko podeszło do stołu i zostawiło mokre ślady palców oraz buzi na części referatu, który Brett przygotowywała na najbliższe zajęcia.

- Sądysz, że mój profesor przyjmie usprawiedliwienie, że dziecko zjadło mi pracę? - syknęła przez zaciśnięte zęby Brett.

- Nie sądzę.

Kiedy odebrała Hope wszystkie kartki i ułożyła je w odpowiedniej kolejności na stole, pomyślała sobie, że wciąż nie ma głowy do pisania pracy z psychologii...

- Michael, czy mówiłam ci, że ten energooszczędny termostat, który miesiąc temu zainstalowałam w bojlerze, obniżył koszty ogrzewania o dwadzieścia procent?

- Tak, mówiłaś. I tak nie miałem zamiaru sprzedawać tego domu zbyt pochopnie, ale chyba pomieszkamy w nim jeszcze dłużej, niż sądziłem. Może nie rok, tylko kilka lat. Ale dobrze byłoby mieć duże podwórko dla Hope, kiedy zacznie grać w piłkę nożną.

- Wybij to sobie z głowy - oczywiście piłkę nożną, a nie podwórko.

Dzwonek domofonu przerwał im rozmowę o przyszłości Brett.

- Nareszcie! - westchnęła Brett, naciskając guzik.

- Nie sprawdziłaś nawet, kto wchodzi. Po to naprawiałaś głośnik w systemie alarmowym, żeby go nie używać?

- Wiem, kto przyszedł. Dostawca pizzy, którą zamówiłam godzinę temu. Jeszcze pięć minut i umarłabym z głodu - powiedziała, otwierając drzwi frontowe młodej kobiecie.

- To pani jest Brett Munro? - zapytała dziewczyna.

Skinęła głową, zanim przypomniała sobie, że jej nowe nazwisko brzmi Janos.

- A pani?

- Przyszłam po swoje dziecko.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Co pani powiedziała?

- Przyszłam po moją córkę. Zostawiłam ją tutaj.

- Brett, z kim ty rozmawiasz? - zawołał Michael z głębi mieszkania.

- Zostawiłam dziecko na dole, przy schodach.

Brett kręciła rozpaczliwie głową, nie chcąc uwierzyć, że jej koszmar senny zmaterializował się na jawie.

Zaniepokojony długą ciszą, Michael wsadził dziecko do kojca i zajrzał do przedpokoju.

- Kim pani jest? - zwrócił się do młodej kobiety w czarnej skórzanej kurtce.

- Nazywam się Denise Perty.

- Ona mówi, że jest matką Hope - powiedziała Brett zdławionym głosem.

- Hope? - powtórzyła kobieta. - Zostawiłam córkę, która ma na imię Angela. Wiem, że źle zrobiłam. Ale byłam wtedy w rozpaczy. Wpadłam w tarapaty... i nie chciałam narażać dziecka. Moja młodsza siostra była w ośrodku i wychwalała panią pod niebiosa. Opowiadała mi różne rzeczy, ale mniejsza o to... W każdym razie pomyślałam, że moja córka będzie miała dobrze u pani - przez jakiś czas, póki po nią nie wrócę.

- Nie bój się. - Michael położył rękę na ramieniu Brett.

- Ona nie odbierze nam dziecka.

Jego głos stwardniał, kiedy zaczął mówić do kobiety podającej się za matkę Hope.

- A więc: Denise - tak masz na imię, prawda? Czy masz jakiś dowód na to, że mówisz prawdę?

- Przyniosłam metrykę Angeli. - Dziewczyna wygrzebała ją z przewieszanej przez ramię szmacianej torby.

Michael przeczytał zmięty dokument kilka razy.

- To nie jest dowód na to, że Angela jest dzieckiem, które chcesz nam zabrać.

- Ma znak szczególny na pośladku - małe czerwone znamię w kształcie róży

- Którym?

- Lewym. Mam takie samo, tylko niżej, proszę. - Podniosła krótką skórzaną spódnicę, żeby pokazać im znamię na udzie, kilkanaście centymetrów powyżej kolana.

Brett serce zamarło w piersi.

- Jak było ubrane dziecko, kiedy je porzuciłaś?

- W nocny kombinezon, miała też niebieski kocyk w pie-ski. Zostawiłam ją w szarym samochodowym foteliku.

Michael zerknął na Brett, która skinęła głową na znak, że wszystkie szczegóły się zgadzają.

- Proszę mi oddać metrykę - powiedziała dziewczyna.

- Czy naprawdę wyobrażałaś sobie - wręczył jej niechętnie dokument - że wpadniesz tutaj ot, tak sobie i odbierzesz dziecko, które porzuciłaś kilka miesięcy temu?

- Niczego sobie nie wyobrażałam - odpowiedziała płac-zliwym głosem. - Chciałam się tylko upewnić, że z moim dzieckiem jest wszystko w porządku.

- Ma się dobrze - szepnęła Brett. - Chcesz wejść do środka? Może napijesz się herbaty... - Objęła ramieniem drżącą Denise i podprowadziła ją do najbliższego krzesła.

Michael spojrział na Brett jak na osobę, która postradała zmysły.

- Niczego nie chcę, dziękuję. Nie przyszłam się naprzykrzać.

- Możesz nam powiedzieć, dlaczego musiałaś zrobić to, co zrobiłaś? Co się takiego wydarzyło?

Brett wysłuchiwała dość banalnej opowieści Denise o nieudanym życiu, które składało się głównie z młodzieńczych pomyłek, biedy, pechowych zbiegów okoliczności - a wszystko razem wzięte brzmiało jakoś nieprawdziwie.

- W pewnym momencie zostałam bez grosza - zakończyła swoją spowiedź - i nie byłam w stanie zajmować się dzieckiem.

- Więc chcesz, żebyśmy opiekowali się nią dalej? - spytał Michael. - Może ją zaadoptujemy?

- Och, nie, to moja córka, nie mogłabym jej oddać komuś obcemu.

- Ale też nie wygląda na to, żebyś mogła ją wychowywać.

- Gdybym miała pieniądze, to bym mogła. - Niespodziewanie Denise zerwała się z krzesła, ominęła Michaela i podbiegła do kojca. Kiedy chwyciła Hope na rękę, mała zaczęła przeraźliwie płakać.

- Zostaw w spokoju to dziecko - rozkazał.

Dziewczyna rzuciła mu wyzywające spojrzenie i dopiero po chwili zrobiła, czego zażądał.

Brett rzuciła się do Hope, żeby ją uspokoić, a Michael wyprowadził Denise do przedpokoju. Z kamiennym wyrazem twarzy wręczył jej swoją wizytówkę.

- Przyjdź do mojego biura jutro po południu z metryką i wszystkimi możliwymi dowodami tożsamości twojej i dziecka.

- Nie możecie zatrzymać dziecka bez mojej zgody - powiedziała z wściekłością, która bardziej, według Michaela, pasowała do jej prawdziwego oblicza niż popis łagodności, jaki dała na początku.

- Po pierwsze, mam zamiar sprawdzić, czy to rzeczywiście jest twoje dziecko.

- Mówiłam już...

- A ja ci mówię, że będziesz musiała wytrzymać do jutra.

- Radzę ci przynieść dziecko na to spotkanie - oświadczyła gardłowym głosem. - Albo zawiadomię policję i powiem, że jesteście porywaczami.

- W tym stanie porzucenie dziecka jest poważnym przestępstwem. Nie sądzę, żeby zawiadamianie policji wyszło ci na dobre.

- Na razie nie chcę tego robić, ale jeżeli spróbowacie wystawić mnie do wiatru, nie będę miała innego wyjścia. Potrafię walczyć, proszę pana! - Wyszła, stukając głośno obcasami, bez słowa pożegnania.

Michael zamknął za nią drzwi, myśląc już tylko o tym, że przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny musi zdobyć wszelkie możliwe informacje o Denise Petty.

- Michael, co my teraz zrobimy? - Brett kołysała w ramionach wystraszoną Hope.

- Powiem ci, czego na pewno nie zrobimy. Nie wpadniemy w panikę. I nie oddamy Hope tej dziewczynie.

- Nie możemy zabrać dziecka jego matce.

- Czy wydaje ci się, że ona zachowuje się jak prawdziwa matka? Jak dobra matka?

- Sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć...

- Wierzyć mi się nie chce, że ją zaprosiłaś do naszego

domu. I dziwi mnie, że zgodziłabyś się oddać Hope takiej wywłóce!

- Ta wywłoka jest matką Hope.

- Zachowujesz się, jakbyś postradała rozum, wiesz o tym? Wpuszczasz ją do środka, zapraszasz na herbatę, praktycznie podajesz jej Hope na srebrnej tacy! Co z tobą? Zmęczyło cię mańczenie małego dziecka?

Patrzyła na Michaela nieruchomym wzrokiem.

- Jak możesz tak do mnie mówić? Kocham Hope bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

- Ja też. Dlatego mam zamiar o nią walczyć!

Brett włożyła małą do kojca i dała jej ulubioną zabawkę. Kiedy odwróciła się z powrotem do Michaela, poczuła, że wzbiera w niej dziki gniew.

- Jak śmiesz zarzucać mi, że Hope mnie zmęczyła?! - Uderzyła go pięścią w ramię. - Skąd, do diabła, przyszło ci to do głowy? Jakim prawem...

- Nie wiem - powiedział cicho. - Wiem, jak bardzo ją kochasz.

- Czy dałam ci kiedykolwiek powody do takiego zarzutu?

- Nie, jesteś wspaniałą matką. Coś mnie zamroczyło. Na myśl, że ta dziewczyna ma wyjść z naszym dzieckiem, wpadłem w amok. A ty masz za miękkie serce, każdemu oddałabyś płaszcz zdjęty z własnego grzbietu.

- No więc nie mam zamiaru podać jej Hope na srebrnej tacy, jasne? Nie jestem aż tak hojna! Nic z tego. Czy masz pojęcie, ile to dziecko dla mnie znaczy?

- Wiem. Zachowałem się jak idiota. Przepraszam. - Pogładził jej policzek. - Może powinienem walnąć łbem o ścianę, żeby zacząć normalnie myśleć.

- Lepiej zachowaj swój łeb w dobrym stanie. Przyda nam się do walki z tym potworem.

- Więc tobie też się nie spodobała? - Michael roześmiał się, jak gdyby kamień spadł mu z serca.

- Coś w niej mnie niepokoi... I Hope rozpląkała się tak przeraźliwie. Denise wzięła ją na ręce w taki sposób... Nie było w tym nic matczynego...

- Dobrze. W takim razie trzymamy wspólny front.

- Nie wiem, czy mamy jakąkolwiek szansę na zwycięstwo. Od początku zdawaliśmy sobie sprawę, że matka Hope może po nią wrócić.

- Masz rację. Powinniśmy byli się przygotować. Ale tak nam było dobrze w tym małym własnym świecie, że odpychaliśmy od siebie złe myśli. Nie chcieliśmy się obudzić.

- Denise sprowadziła nas na ziemię...

- Z hukiem. Zapamiętałem z metryki, że Hope urodziła się pierwszego czerwca. To znaczy, że oceniłaś jej wiek idealnie.

Brett wybuchnęła długo tłumionym płaczem.

- Michael, co zrobimy, jeśli ona odbierze nam to dziecko?

- Nie pozwolimy jej na to.

Ale jego słowa nie pocieszyły Brett. Czy przeżyłaby stratę dziecka? Nagle ogarnął ją tak paniczny strach, że nie mogła nawet płakać. Chciała, ale nie mogła.

Przerażająca była myśl, że jej kruche szczęście zbudowane było na marzeniach.

Nigdy nie miała ślepej wiary, że wszystko w życiu dobrze się kończy, że „jakoś tam będzie”. Zanim poznała Michaela, na wszystko musiała zapracować, wszystko wywalczyć.

Przestań być taka nieznośna, Brett.

Dlaczego zawsze musisz chcieć więcej?

Potrzebuję kobiety, która może być prawdziwą żoną.

Przeszłość ożyła. Zatrzymała jej serce, odbierała wiarę w siebie.

Czy to kara za to, że chciała za wiele? Miała rodzinę, ale chciała więcej. Pragnęła, żeby Michael ją kochał. Nie wystarczał jej seks, nie wystarczała przyjaźń. A teraz co? Mogła stracić wszystko.

Michael, pochylony nad komputerem, szukał informacji o Denise Petty, kiedy zadzwonił telefon. Denise nie przyszła o umówioną porę, a on nie przywiózł do biura Hope. Sytuacja patowa.

Coś tu nie grało...

- Rozmowa na koszt abonenta - odezwała się sekretarka.
- Na pierwszej linii.

- Kto dzwoni?

- Nie zrozumiałam nazwiska.

- Juan - brzmiała nagrana informacja. - Płaci pan za tę rozmowę? - spytał operator.

- Nie. Nie znam żadnego Juana. - Michael wrócił do komputera, ale po dwóch minutach Lorraine przywołała go z powrotem do telefonu.

- Ten sam rozmówca na pierwszej linii. Mówi, że to bardzo pilne.

Podniósł niecierpliwie szychawkę. Tym razem nagrana informacja była dłuższa: „Juan, przyjaciel Brett z ośrodka młodzieżowego, w sprawie Brett”.

- Proszę łączyć! - krzyknął do operatora. - Co się stało Brett?

- Jeszcze nie, ale może się stać.

- Co to, do diabła, ma znaczyć?

- Człowieku, ty niczego nie kapujesz! Niewart jesteś Brett!
- Powiedz, o co chodzi.
- Nie przez telefon. Przyjdź za pół godziny do ośrodka.

Chodzi o Brett... i to dziecko, które ktoś jej podrzucił.

Kiedy usłyszał ciągły sygnał, zaklął pod nosem, zdjął płaszcz z wieszaka i ruszył do wyjścia.

- Dokąd idziesz? - spytała Lorraine.
- Załatwić prywatne sprawy.
- Ostatnio nie zajmujesz się niczym innym. Jak tak dalej pójdzie, nie zostanie ci ani jeden klient.

- Biorąc pod uwagę to, że przez kilka lat wypruwałem sobie flaki dla swoich klientów i harowałem od rana do nocy, teraz mogą mi trochę odpuścić. To samo dotyczy ciebie!

- Nareszcie normalny Michael z wojowniczą naturą. Bardzo się martwiłam, kiedy nagle zacząłeś patrzeć godzinami w sufit. Interesy idą dobrze, nie przejmuj się.

- Posłuchaj, na biurku leży kasetka z raportem o stanie bezpieczeństwa dla firmy budowlanej Andersona. Przepisz ją.

- Z takim głosem powinieneś nagrywać na kasety literaturę, a nie instrukcje bezpieczeństwa.

- Tak, chyba już to gdzieś słyszałem. Jeżeli zadzwoni moja żona, zawiadom mnie natychmiast.

Mimo że była dopiero trzecia po południu, Michael przedzierał się przez zatłoczone miasto czterdzieści minut, czyli dwa razy dłużej niż zazwyczaj.

- Spóźniłeś się - przywitał go Juan, kiedy zdyszany wpadł do ośrodka St. Gerald's.

- Słuchaj, moja cierpliwość ma swoje granice - warknął Michael. - Ciesz się, że w ogóle tu dotarłem.

- Nie będziesz żałował. Chcę, żebyś kogoś poznał.

Brett poprawiła na ramieniu torbę z książkami i wyjęła z kieszeni klucze. Chciała opuścić środowe zajęcia na uniwersytecie i zostać w domu z Hope, ale Michael przekonał ją, że to nie najlepszy pomysł. „W końcu to tylko trzy godziny”, powiedział. Wyszła więc, ale i tak bez przerwy myślała o dziecku. Kiedy otworzyła drzwi frontowe i zobaczyła tłum lokatorów na klatce schodowej, pociemniało jej w oczach. Brakowało tylko Tyrone'a. I Hope.

- Co się stało? Hope...? Gdzie ona jest?

- Wszystko dobrze - pierwsza odezwała się Consuela. - Śpi. Frieda do niej zagląda.

- Michael? Czy coś się przydarzyło Michaelowi?

- Uspokój się, nie mamy żadnych wieści od Michaela. Nie wrócił jeszcze z pracy.

- Ale coś się wydarzyło - powiedział pan Stephanopolis.

- Nie trzymaj dziewczyny w niepewności - ofuknęła go żona. - Powiedz po prostu, że ktoś usiłował porwać jej dziecko.

- Co? - Brett zacisnęła palce na poręczy schodów. - Kto próbował porwać Hope?

- Próbowali ją wynieść z fotelikiem bujanym - wyjaśniła Frieda.

- W jaki sposób dostali się do twojego mieszkania?

- Kobieta, która do mnie zapukała, powiedziała, że jest twoją znajomą. Była w czarnej skórzanej kurtce i miała mocno wymalowane oczy.

Denise...

- Ale jak ona się dostała do domu?

- To, niestety, moja wina - przyznała się pani Stephanopolis. - Miałam do wniesienia tyle toreb z zakupami, że za-

stawiłam drzwi jakimś kamieniem. Musiała się wśliznąć do środka, kiedy byłam na górze.

- Powiedziałam, że jesteś na zajęciach - mówiła dalej Frieda - a ona wpadła jak burza do naszego salonu, złapała dziecko, ale ja jej zablokowałam drzwi. Wtedy weszła Consuela. Zaczęła wymachiwać łyżką wazową i krzyczeć, że jeśli ta dziewczyna nie odda dziecka, wezwiemy policję.

- Wezwaliście policję?

- Nie - powiedziała Frieda. - Zjawiła się Keisha.

- Zauważyłam, że dzieje się coś niedobrego - przejęła narrację Keisha - jak tylko weszłam do domu. Drzwi do ich pokoju były otwarte. Chwyciłam spra...

- Może sobie darujesz te policyjne popisy - zaprotestowała Frieda.

- Zatrzymałyśmy podejrzaną. - Keisha machnęła ręką.

- Lepiej usiądź. - Frieda wzięła Brett pod rękę. - Jesteś bardzo blada.

- Chcę zobaczyć Hope.

Dziecko spało, Brett zdała sobie sprawę, że dopiero teraz zaczęła normalnie oddychać. Hope należała do niej i nikomu nie pozwoli jej ukraść. Nigdy. Będzie walczyć o nią na śmierć i życie.

Kiedy trochę się uspokoiła, pocałowała ciepły policzek dziecka i wróciła do salonu.

- Gdzie ona teraz jest? - zapytała.

- Keisha przykuła ją kajdankami do grzejnika w suterenie - odparła Frieda.

- I zakneblowałam ją skarpetką, żeby nie robiła hałasu - dodała z satysfakcją Keisha.

- Kiedy to się stało?

- Kilka minut temu, właśnie mieliśmy dzwonić po policję.

- Nie ma potrzeby. Znam tę kobietę. Przykro mi, że urządziła taką scenę, i jestem wam bardzo wdzięczna, że posunęliście się aż tak daleko... w obronie Hope. - Brett miała łzy w oczach. - Jesteście naprawdę kochani...

- Przecież obiecałyśmy - Frieda wzruszyła ramionami - że będziemy opiekować się Hope, kiedy ty wychodzisz z domu. W telewizji słyszy się teraz takie straszne historie...

- Zejdę porozmawiać z tą kobietą - przerwała jej Brett.

- Kim ona jest?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Gdyby wyjawiała im prawdę, mogliby zadzwonić na policję. Skrępowanie naturalnej matki dziecka i zamknięcie jej w suterenie mogłoby się nie spodobać sądowi, który będzie decydował o losie Hope.

- Poznałam ją kiedyś.

- Na moje oko to ona jest chora psychicznie. Za blisko osadzone oczy nigdy nie są dobrym znakiem.

- Chodź, Brett, zejdę z tobą na dół. - Keisha objęła ją, a kiedy znalazły się poza zasięgiem słuchu reszty lokatorów, powiedziała cicho: - Domyśliłam się, że nie chcesz w to mieszać policji. Słyszałam, co ta kobieta mówiła wczoraj. Wnosiłam na górę pranie, kiedy ona rozrzucała z tobą na korytarzu i powiedziała, że jest matką Hope. Może przesadziłam z tymi kajdankami, ale pojęcia nie miałam, co robić. Nie mogłam pozwolić, żeby uciekła z dzieckiem. Źle jej patrzy z oczu. Nie ma w niej nic matczynego. Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Nigdy ci tego nie zapomnę, Keisho...

- Hej, tylko mi się teraz nie rozklejaj. Musimy coś zrobić z tą panienką na dole.

Oczy Denise Perty pałały nienawiścią. Kiedy Brett wyjęła

z jej ust skarpetkę, natychmiast wylał się z nich potok najordynarniej szych przekleństw.

- Albo zamkniesz jadaczkę - Keisha pogroziła jej skarpetką - albo ja ci ją zamknę.

- Pożałujesz, że weszłaś mi w drogę. - Denise splunęła w jej kierunku, ale Keisha przezornie stanęła w bezpiecznej odległości.

- Uspokój się, Denise. - Brett próbowała ostudzić atmosferę. - Wiem, że w tej chwili nie masz powodów do zadowolenia, ale możemy to wszystko jakoś ułożyć.

- Na jakim ty świecie żyjesz? - warknęła Denise, patrząc na nią z pogardą.

Ale Brett wiedziała, co robi. Pracowała już z wieloma takimi dziewczynami i nawet udawało jej się jakoś z nimi dogadać.

- Wiem, że nie chciałaś nikogo przestraszyć.

Czując, że Brett jest teraz po jej stronie, Denise rzuciła w stronę Keishy tryumfujące spojrzenie.

- Właśnie. Przyszłam zobaczyć moją córkę.

- Dokąd chciałaś ją zabrać?

- Do moich znajomych. Nie chciałam jej zrobić nic złego. Przyniosłabym ją z powrotem, gdybym...

- Gdyby co? Śmiało, Denise. Wiem, że jesteś inteligentna. Musiałaś mieć jakiś plan.

- Gdybym nie poradziła sobie sama z jej wychowaniem.

- Mądrze - przyznała Brett. - Prawie bym ci uwierzyła, gdyby nie te oczy. Wiem, że dzieciaki z ośrodka myślą, że jestem naiwną optymistką, ale wierz mi, Denise: to nie ja jestem naiwna. Wiem, że kłamiesz, więc może oszczędzisz kłopotów sobie i mnie, i powiesz w końcu prawdę.

- Mówię prawdę. To moje dziecko. Nie zabrałam jej ni-

komu, a jeśli chcę mieć za nią jakieś pieniądze, to moja sprawa!

- Chciałaś ją ukraść dla pieniędzy?

- To moje dziecko. Oddałabym ją... za odpowiednią cenę.

- Ile?

- Dwadzieścia tysięcy.

- No tak, od początku wyglądałaś mi na zdzirę, która sprzedawałaby własne dziecko - powiedziała z pogardą Keisha..

- I ty mówisz, że jesteś matką?

- Tak tylko mówi - usłyszały głos Michaela. - Ale to nieprawda. Ona nie jest matką Hope.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co powiedziałaś...?
- To, co słyszałaś. - Michael z Juanem weszli do pokoju.
- Ona nie jest matką Hope.
 - Ale przecież ma identyczne znamię i wiedziała, jak było ubrane dziecko, i w ogóle wszystko...
 - Dlatego, że tamtego dnia była tu razem z prawdziwą matką Hope.
 - A znamię?
 - Wszystkie kobiety w jej rodzinie mają identyczny znak szczególnie. Ta Denise to naprawdę Darlene, bliźniacza siostra matki Hope. Nie były identyczne, ale wystarczająco podobne, żeby Darlene mogła ukraść tożsamość siostry, która zginęła w wypadku samochodowym kilka tygodni temu.
 - Prawdziwa matka Hope zginęła...?
 - Tak. Juan, powtórz jej to, co mi opowiedziałaś.
 - Koleguję się z jej młodszą siostrą, Lindą. Ona się boi Darlene, ale zwierzyła mi się. Powiedziała, że nie chce, żebyś cierpiała przez jej siostrę. Bo jesteś za dobra. No więc powiedziała mi wszystko, chociaż Darlene groziła, że ją zabije, jak puści parę.
 - To mała żmija! Kapuś! - wrzasnęła Darlene. - Niech ją ją tylko dorwę!
- Juan, jakby nie dostrzegał jej obecności, mówił spokojnie dalej.

- Prawdziwą matką Hope była Denise. Dobra dziewczyna.

- Tak, to był nasz rodzinny anioł! - Twarz Darlene wykrzywił grymas nienawiści. - Zawsze doskonała, niewiniątko, poza wszelkimi podejrzeniami. Aż w końcu zafundowała sobie bachora. Ale nawet wtedy mama nie wyrzuciła jej z domu tak jak mnie.

- Za to, że biegałaś za nią z patelnią. Linda mi opowiedziała.

- Zęby jej powybijam!

- Zatkaj sobie czymś buzię - poradziła jej Brett.

Keisha potraktowała to dosłownie i po kolejnym potoku wyzwisk zakneblowała Darlene usta.

Dopiero wtedy do pokoju weszła bardzo młoda dziewczyna, którą Brett pamiętała jak przez mgłę z ośrodka dla młodzieży.

- Linda?

Dziewczynka kiwnęła głową i rzuciła się w wyciągnięte ku niej ramiona Brett.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Przypilnujemy, żeby Darlene nie skrzywdziła cię nigdy więcej - mówiła Brett kojącym głosem.

- To się da łatwo zrobić - powiedział Michael. - Po rozmowie z Juanem dowiedziałem się co nieco na własną rękę. Najciekawsze jest to, że w kartotekach policyjnych Denise Petty ma czyste konto, natomiast Darlene bywała nagminnie notowana za łamanie prawa.

- Dlaczego nie znalazłeś tych informacji dziś rano, kiedy sprawdzałeś jej dokumenty?

- Dlatego, że nie pojawiła się w moim biurze na umówione spotkanie. Ale byłem już pewien, że coś tu nie gra. Problem

polegał na tym, że Denise Petty została zarejestrowana przez rodziców jako Donna Denise Petty. Odkryłem to dzięki informacji Juana o jej siostrze bliźniaczce.

- Dziękuję, Juan, że nam to wszystko powiedziałeś.

- Brett spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Powiedział mi też, że Darlene postanowiła wykraść Hope dla okupu. Jechałem tu jak wariat, ale widzę, że panujecie nad sytuacją. Niezły pomysł z tym grzejnikiem...

- To pomysł Keishy. To ona unieszkodliwiła Darlene.

- Z pomocą innych lokatorów.

- Szybko myślisz, Keisho - pogratulował jej Michael. - Może byśmy kiedyś porozmawiali o współpracy?

- Dzięki, porozmawiać zawsze można.

- Tymczasem powiedz, co zrobimy z Darlene? - zapytała Brett. - Nie możemy jej tu zostawić.

- Przeczytaj to... - Linda wyjęła spod kurtki gruby zeszyt i podała go Brett. - Może to ci pomoże podjąć decyzję.

- Co to jest?

- Pamiętnik Denise. Przyglądała ci się, chociaż nigdy z tobą nie rozmawiała. To ja jej o tobie opowiadałam. Mojamama pije. Denise nie chciała, żeby zmarnowała życie jej dziecku tak jak... - głos Lindy załamał się. - Sama przeczytaj, co napisała.

Brett zaczęła czytać:

„Zaniosłam tam dzisiaj Angelę i zostawiłam w takim miejscu, żeby znalazła ją Brett. Nigdy jej nie poznałam, ale wiem, że ona ma dobre serce. Będzie wiedziała, co zrobić, żeby Angeli było jak najlepiej. Jeżeli sama nie będzie mogła wychować mojego dziecka, znajdzie dla niej dobrą rodzinę zastępczą. Może powinnam zdobyć się na odwagę i zanieść małą do sierocińca, ale nie wiedziałam, gdzie takiego szukać. I nie

miałam już czasu. Mama uderzyła dzisiaj Angełę, a ja wiem, że w tym domu będzie coraz gorzej. Nie chcę, żeby moje dziecko miało takie życie. To nie jej wina, że nie urodziła się w lepszej rodzinie. Brett będzie wiedziała, co zrobić, bo ja na pewno nie wiem..."

- A co z ojcem dziecka? - spytała Brett, połykając łzy.

- Denise nigdy nam nie powiedziała, kto nim jest. Tylko to, że nie chciał słyszeć o dziecku, zamieszany był w podejrzaną sprawę i wyjechał do Los Angeles.

Wszyscy drgnęli, kiedy usłyszeli pukanie do półotwartych drzwi. Nie czekając na zaproszenie, do pokoju weszli dwaj policjanci.

- Czy ktoś z państwa nazywa się Michael Janos?

- To ja. Dziękuję, że zjawiliście się tak szybko.

- Wezwałeś policję? - spytała przerażona Brett.

Michael uspokoił ją wzrokiem.

- Po tym, jak Frieda powiedziała mi, że Denise... to znaczy Darlene próbowała porwać Hope, i że jest z tobą na dole...

Jeden z policjantów patrzył z krzywą miną na przykutą do kaloryfera Darlene.

- Czy może nam ktoś wytłumaczyć po ludzku, co tu się dzieje?

- To długa historia - powiedział Michael. - Zacznę od tego, że ta młoda kobieta, której musieliśmy ograniczyć swobodę ruchów, nazywa się Darlene Perty, a wy od dawna macie stały nakaz jej aresztowania. Darlene potrzebowała gwałtownie pieniędzy - zaczął tłumaczyć Brett - żeby uciec z miasta. Policja ma dowody na to, że brała udział w serii poważnych włamań. Sedno w tym - zwrócił się do policjantów - że ta kobieta podszywała się pod swoją bliźniaczą siostrę, używała

jej dowodu tożsamości, ale jeśli zdejmiecie jej odciski palców, okaże się, że to Darlene.

Policjanci w błyskawicznym tempie sprawdzili informacje Michaela, po czym zabrali Darlene - dodając do długiej listy jej grzechów stawianie czynnego oporu policji (kopnięcie obcasem w nogę).

- Jako ciotka Hope, wciąż ma większe szanse od nas, gdyby wystąpiła do sądu o prawo sprawowania opieki nad dzieckiem... - powiedziała zmartwionym głosem Brett, kiedy zostali sami.

- Nigdy nie chciała tego dziecka, tylko pieniędzy.

- Na pewno powie im o Hope...

- Masz pamiętnik, który jest dowodem na to, że Denise życzyła sobie, żebyś ty się zajęła jej dzieckiem. Brett - przygarnął ją do siebie i pocałował w czoło - sąd na pewno da nam zgodę na adopcję. Nie musimy się już o nic martwić. Wystarczy, że powiemy prawdę.

- A potem żyli długo i szczęśliwie... - Po głowie chodziło jej zdanie z bajki na dobranoc, którą tamtego wieczoru opowiadała Hope.

Brett siedziała w fotelu bujanym z małą dziewczynką na kolanach. Dotyk dziecięcej główki na jej piersi sprawił, że łzy zasłoniły jej oczy. Łzy niewysłowionej ulgi.

- Kocham cię, Hope. Tak bardzo cię kocham.

Ale Hope, której wyrzynał się następny ząb, była w mało towarzyskim nastroju i odepchnęła ją od siebie.

Nie bądź natrętna, Brett. Nie naprzykrzaj się.

Przez cały dzień była dziwnie niespokojna, przeczulona, wciąż miała ochotę płakać. Teraz zagryzła wargi, żeby swoim szlochem nie przerazić dziecka.

Ale Hope, jak gdyby zrozumiała, że mamę coś boli, odwróciła z powrotem główkę. Przytuliła się do Brett i obdarzyła ją tak rozbrajającym, szczerbatym uśmiechem, że szloch Brett przerodził się w cienki, chichotliwy śmiech.

- Ja nie znałam swojej matki - zwierzyła się nieśmiało córce. - I nigdy nie miałam nikogo, kto byłby dla mnie jak matka, dlatego nie wiem, czy będę umiała być dobrą matką dla ciebie. Ale obiecuję ci, że zawsze będę cię kochać. I że pomogę ci znaleźć cel życia w tym szalonym świecie. Tylko nie oczekuj ode mnie zbyt dużo, zgoda? Dam z siebie wszystko, ale nie wiem, czy sama miłość wystarczy.

Dziecko kiwało główką, jakby rozumiało każde słowo.

- Widzisz, kocham Michaela, ale to nie znaczy, że... - Poszukała pod bluzką złotego młoteczka, który dostała od niego na gwiazdkę. - ...to nie znaczy, że on mnie kocha. Kiedy panicznie się bałam, że mi ciebie zabiorą, czułam się wszystkimu winna. Myślałam, że to Bóg mnie karze za to, że za wiele od niego chcę. Wtedy zawarłam z Bogiem umowę - że jeżeli pozwoli nam ciebie zatrzymać, nie poproszę go o nic więcej. Nigdy. Mam zamiar dotrzymać tej obietnicy. Ale nie chcę, żebyś kiedykolwiek wątpiła w to, że Michael kocha ciebie. Jesteś szczęściarą, że masz takiego wspaniałego tatuścia. Niewiele dzieci ma ojców, którzy potrafią się z nimi bawić, nigdy się nie denerwują, robią własnoręcznie zabawki...

Dziecko zasnęło. Brett pocałowała je i zaniósła do łóżeczka. Kiedy weszła do sypialni małżeńskiej, Michael siedział nieruchomo na brzegu łóżka. Odwrócił się i utopił w niej mroczne spojrzenie.

- Musimy porozmawiać - odezwał się po chwili.

Z tonu jego głosu zorientowała się, że nie będzie to miła rozmowa, ale dopiero kiedy zatrzymał wzrok na monitorze

dziecięcym, ugięły się pod nią nogi. Przecież to cholerne urządzenie to nic innego jak podsłuch z mikrofonem! Zapomniała o nim na śmierć. Wszystko, co wyszeptała dziecku - każde słowo jej spowiedzi - słyszał Michael.

Nigdy w życiu nie czuła się bardziej zażenowana. Gdyby tak mogła zapaść się pod ziemię...

Ale nie zapadła się, więc musiała walczyć.

Odzyskała odwagę, a wraz z nią przyszło olśnienie: zdała sobie nagle sprawę, że zmęczyło ją przeproszanie za przeszłość, za to, co czuje, za to, że nie chce tracić nadziei.

A więc koniec z tym. Nigdy więcej! Żadnych powrotów do przeszłości, rozpamiętywania urazów z dzieciństwa. Przez całe życie musiała o wszystko walczyć - gotowa jest wojować dalej!

- No więc, dobrze, kocham cię! Chcesz z tego zrobić jakiś użytek? - Z rękami na biodrach mierzyła go wyzywającym wzrokiem.

Michael nie spodziewał się takiej reakcji. Zobaczyła w jego oczach zdumienie, a potem coś jeszcze. Podziw?

- Jasne, że chciałbym... Podejź do mnie.

Zrobiła krok w jego stronę i zatrzymała się.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Ty możesz do mnie podejść.

- Dobrze. - Wstał, zrobił cztery kroki, które ich dzieliły - i pociągnął ją za sobą na łóżko.

- Jak mogłaś być taka głupia? Dlaczego? - pytał, klęcząc przy niej na materacu

- Walczyłam ze sobą, możesz mi wierzyć! Albo stało się to przez tę cholerną cygańską szkatułkę, albo te twoje oczy odebrały mi rozum...

Położył palce na jej wargach.

- Jak mogłaś myśleć, że cię nie kocham?

Wpatrywała się w niego osłupiała.

- Słucham?

- Jak mogłaś myśleć, choćby przez jedną minutę, że cię nie kocham?

- Nie mam pojęcia - odparowała. - Ale może fakt, że nigdy nie powiedziałeś, że mnie kochasz, mógłby coś wyjaśnić.

- Zgoda - skrzywił się. - A więc nie wyznałem ci miłości, ale czy jej nie okazywałem? Posyłałem ci żołądź, uwodziłem w pracy, na litość boską! Jak myślisz, przed iloma kobietami poza tobą odtąńczyłem taki miłosny tańiec?

- Nie wiem. I nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć...

- Przed żadną! Kocham cię.

- Znowu przyniosłeś do sypialni cygańską szkatułkę?

- Zapomnij o tym przeklętym pudełku. Nie jestem pod urokiem.

- Jasne, że nie.

- A co by cię mogło przekonać? - zapytał z desperacją w głosie.

- Nie wiem. Może pięćdziesiąt lat twojego życia.

- Umowa stoi - szepnął, pieczętując porozumienie kuszącym pocałunkiem. - Ale powiódz, dlaczego tak trudno ci uwierzyć w moją miłość?

- Może dlatego, że nikt mnie dotąd nie kochał - szepnęła.

- Brett, mnóstwo ludzi cię kocha.

- Mnóstwo - to nic nie znaczy.

- Znaczą. Wiem, że twoja matka cię porzuciła i ten łajdak, narzeczony. Ale spójrz na mnie... Nie jestem taki jak oni. Nie porzucę cię nigdy. Jeśli koniecznie chcesz wierzyć, że

padło na nas miłosne zaklęcie, to wierz. I wiedz, że magia to potężna siła, której nie można lekceważyć. Połączyła nas na zawsze.

- Żartujesz?

- A wydaje ci się, że żartuję?

Spojrzała na niego. Zobaczyła... nareszcie zobaczyła miłość w jego oczach. Miłość do niej!

- Nie wiedziałem, że mnie kochasz - szepnął. - Aż do dzisiejszego wieczoru, kiedy powiedziałaś to Hope.

- Jak mogłeś nie wiedzieć? Trzęśły mi się ręce, kiedy wchodziłeś do pokoju. W Wigilię to ja cię uwiodłam.

- To nie musi świadczyć o miłości.

- Wyszłam za ciebie za męża.

- Ze względu na dziecko. Wiedziałem, że małą pokochałaś. Byłem pewien, że zrobiłabyś dla niej wszystko, nie wyłączając małżeństwa ze mną.

- A ja myślałam, że to ty ożeniłeś się ze mną, żeby uratować Hope.

- Ożeniłem się z tobą, bo musiałaś być moja.

- Miłosny urok...

- To ty mnie zauroczyłaś. Ty sama. Sposób, w jaki się uśmiechasz, jak podchodzisz do życia, troszczysz się o innych. I to, jak wyglądasz w swoich cholernie ciasnych dżinsach i jak błyszczą ci oczy w czasie rozmowy...

- Mów dalej, dobrze ci idzie... - Brett uśmiechnęła się.

- Wierzysz mi?

- Chcę ci wierzyć.

- A co ci przeszkadza?

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Tłumaczyłem ci. Po pierwsze, nie wiedziałem, czy ty mnie kochasz.

- Więc czekałeś, aż pierwsza wyznam ci miłość? Jakie te typowo męskie podejście!

- Rozmawianie o uczuciach nie jest moją mocną stroną. To też próbowałem ci wyjaśnić, pamiętasz?

- A moja niby jest? Powiedz mi, Michael, skąd mam być pewna, że kochasz mnie naprawdę?

- Chyba nie możesz być tego pewna. Musisz iść za głosem serca i dać sobie pięćdziesiąt lat na to, żeby się przekonać.

Czas stanął w miejscu, kiedy ich oczy się spotkały. Żaden inny mężczyzna nie patrzył na nią w ten sposób - jak gdyby ona jedyna odkryła najgłębsze sekrety jego duszy i tylko ona miała klucz do jego serca.

- Michael... Kochaj mnie!

Objęli się ramionami niemal jednocześnie i opadli na łóżko.

Oboje zapomnieli o całym świecie. Brett przylgnęła do Michaela, wyobrażając sobie, że stopili się w jedno ciało. Westchnęła głęboko, kiedy objął jej pośladki i, poruszając biodrami, dawał dowód swojego podniecenia.

- Michael... Błagam!

Rozbierali się nawzajem, pospiesznie, szepcząc niezrozumiałe miłosne zaklęcia. Kiedy na powrót utonęli w swoich ramionach, zapadła cisza jak przed burzą.

- Brett, ukochana...

Nogami oplotła jego biodra, z uczuciem ulgi i doskonałej pełni. Stracili wszelką niepewność. Oboje byli straceni. Odczuwali tylko zachwyt nad czymś, co gęstniało z minuty na minutę...

- Mam domek w górach w Północnej Karolinie. Jeśli chcesz, możemy tam pojechać na spóźniony miesiąc miodowy. Nic specjalnego, ale...

- Nie potrzebuję niczego specjalnego... - Brett uśmiechnęła się i pocałowała go w brodę. - Ale jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolę zostać tutaj.

- Gdybym miał przeżyć to jeszcze raz - Michael objął rękami jej twarz - dwie rzeczy zrobiłbym inaczej.

- Umieram z ciekawości...

- Powiedziałbym ci, że cię kocham, dużo wcześniej... i wzięlibyśmy prawdziwy ślub w rodzinnym gronie.

Miesiąc później...

- Ogłaszam, że jesteście mężem i żoną - powiedział ojciec Lynden. - Możesz pocałować...

Michael uniósł welon Brett, zanim ksiądz dokończył zdanie. Pocałował ją, a potem spojrzał jej w oczy z bałwochwalczym uwielbieniem. Brett nie wątpiła już w jego miłość.

Nie słyszała, co mówił ojciec Lynden, nie słyszała śmiechu zebranych w kościele gości, ale usłyszała swoją córkę, Hope Angelę Janos, która głośnym piskiem wyraziła swoje niezadowolone.

- Jeszcze atrament nie wysechł na postanowieniu o adopcji, a ona już się awanturuje.

- Chce do tatusia. Ale ja chcę jeszcze bardziej - szepnęła Brett, zanim ruszyli do wyjścia.

Para młoda poprosiła gości, żeby zamiast dawać im prezenty, przekazali pieniądze na potrzeby Ośrodka Młodzieżowego St. Gerald's. Na przyjęciu weselnym wzruszony ojciec Lynden powiedział, że dzięki ich hojności może już przystąpić do remontu starej sali gimnastycznej.

Zabawa dopiero się rozkręcała, kiedy Gaylynn, usprawiedliwiając się długą drogą, zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Nie zapomniałeś o czymś? - spytała Brett, kiedy Michael zęgnął się z siostrą.

- Ach, tak! Szerokiej drogi, siostrzyczko, i weź ze sobą to... - Z tajemniczym uśmiechem wręczył jej kartonowe pudełko.

- Co to jest?

- Drobiazg ze Starego Kraju, który przyniesie ci szczęście.

Kiedy Gaylynn pomachała im ręką i wsiadła do samochodu, Michael objął czule Brett i szepnął jej do ucha:

- Czy mówiłem ci dzisiaj, jak bardzo cię kocham?

Dopiero teraz Brett poczuła się jego żoną.

- Ja też cię kocham. Chciałabym, żeby cygańska szkatułka przyniosła twojej siostrze tyle szczęścia, co nam.